



**RAYE MORGAN**

**Agent  
i dziewczyna**

Tytuł oryginału:  
**Secret Dad**



## PROLOG

Robbie uniósł kędzierzawą główkę i zaczął nasłuchiwać. Z sąsiedniego pokoju dolatywał ciepły śmiech matki i głosy jej przyjaciół. Uspokojony, czule objął pluszowego misia i opadł na poduszkę. Bardzo kochał mamę całą mocą swego niespełna sześciolatniego serduszka.

Popołudnie spędził ze swoim przyjacielem, Billym, taplając się w błocie nad brzegiem jeziora. Byłoby naprawdę fajnie, gdyby nie natarczywe pytania kolegi:

- Gdzie jest twój tatuś? Czy możesz mi coś o nim opowiedzieć, mądralo?

Lecz on nie umiał odpowiedzieć na to kłopotliwe pytanie. Billy miał ojca. Był to duży i hałaśliwy mężczyzna, który co niedziela zabierał syna na ryby. Skoro każdy musi mieć tatę, to dlaczego Robbie go nie miał?

Matka zignorowała to pytanie.

- Zbliżają się twoje urodziny, więc lepiej zastanów się, co chciałbyś dostać jako prezent.

Czy może sobie zażyczyć na urodziny ojca? Robbie nie był tego pewien. Nie chciał o tym rozmawiać z mamą. Nie nawidził, kiedy była smutna, a coś mu mówiło, że gdyby ją poprosił o tatę, na pewno straciłaby humor. Dlatego będzie musiał o to poprosić kogoś innego.

Złożył ręce, zacisnął mocno powieki i zaczął szeptać:

- Proszę, proszę, czy możesz podarować mi tatusia?

Obiecuję, że co wieczór będę starannie mył zęby. Czy mógłby być duży? Naprawdę bardzo go potrzebuję. - Otworzył oczy, ale natychmiast powtórnie je zamknął, bo o czymś jeszcze zapomniał. - Dziękuję - dodał szybko. - Bardzo ci dziękuję i miej w opiece moją mamusię.

RS

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Denver McCaine kłął w żywy kamień, wspinając się stromą ścieżką do chaty, którą na miesiąc wynajął. Miał trzydzieści osiem lat i jego pokiereszowane, udreżone ciało odmawiało posłuszeństwa. Wprawdzie szukał odosobnionego miejsca, ale gdyby wiedział, ile potu wymaga dotarcie do domku, wynająłby coś bliżej jeziora.

- Zatrzymaj się nad Sekwojowymi Jeziorami - doradził mu jego szef, Josh Hoya. - Prowadziłeś ostatnio trzy trudne sprawy. Nie poradzisz sobie z następną, jeśli nie złapiesz trochę oddechu.

Postronnego obserwatora wzruszyłaby troska Josha, ale Denver nie miał złudzeń. Jego szefa tak naprawdę interesowało tylko to, by Denver był w dobrej kondycji, ponieważ powierzano mu najtrudniejsze zadania. Od dwudziestu lat był agentem rządowym, ale po raz pierwszy zastanawiał się, czy nadal chce wykonywać tę pracę.

- Starzeję się - pomyślał.

Zatrzymał się, by odpocząć, i z westchnieniem ulgi oparł się o sosnę.

- Może już czas, by usiąść za biurkiem.

Jednak natychmiast z obrzydzeniem odrzucił ten pomysł. Papierkowa robota - to nie w jego stylu. Jednak wspinaczka poważnie nadwreżyła prawe kolano. Rozejrzał się wokół, by znaleźć lepszą drogę do chaty, i zauważył łożysko wyschniętego strumienia.

- Może tędy będzie łatwiej.

Wspinał się ostrożnie po spiętrzonych kamieniach. Obrzucał wyzwiskami obcego agenta, który przed trzema tygodniami trafił go w nogę, jak też snajpera, który podczas innej akcji postrzelił go w plecy.

Zamiast użalać się nad swoimi chwalebnyymi ranami, powinien uważniej patrzeć pod nogi, bo oto właśnie zjeżdżał na grzbiecie z urwiska, wrywając po drodze wszystkie trawki i gałązki. Niestety, żadna z nich nie była w stanie utrzymać ciężaru jego ciała. Leżał potem, poskręcany wbrew wszelkim prawidłom anatomii, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Zalała go fala bólu. Zamknął oczy, by ją przeczekać. Powinien mieć jasny umysł. Nigdy dotąd nie kłął w tak wyszukany i poetycki sposób.

- Ty stary idioto, nadajesz się już tylko na złom. Nigdy nie wyczyniałeś takich durnot. Co się z tobą dzieje?!

Gdy odzyskał trochę sił, próbował usiąść, ale bezskutecznie. Jego prawa noga była drętwa jak kłoda i zupełnie nieprzydatna.

Trwał tak, obmywany cienkim strumyczkiem wody. Był wściekły i bezsilny. On - Denver McCaine, agent rządowy, twardziel, obrońca słabych i uciśnionych, który podejmował się najbardziej szalonych misji - leżał tu jak jakiś cholerny żółw. Gdyby nie był tak kompletnie wykończony, wybuchnąłby śmiechem.

- Trzymaj się, już idę!

Głos należał do kobiety i Denver skrzywił się. Żadna kobieta nie powinna go widzieć w tak upokarzającej sytuacji.

- Czy jesteś ranny? Dasz radę wstać? A może lepiej pobiegnę po pomoc?

Najpierw zobaczył jasne, lśniące w słońcu włosy. Dopiero gdy kobieta podeszła bliżej, dostrzegł rysy jej twarzy.

- To nic poważnego - powiedział lekceważąco. - Właściwie jestem ranny, ale to skutek dawniejszych przygód. Tym razem nie chodzi o obrażenia ciała. Ucierpiał raczej mój duch.

Kobieta roześmiała się. Nie uwierzyła jego słowom i delikatnie sprawdziła, czy nie ma złamań.

- Chyba wszystko w porządku - oznajmiła i podała mu rękę. - Czy chcesz, żebym ci pomogła wstać?

Zaparała się mocno o skałę i delikatnie go posadziła.

- Już - powiedziała, uśmiechając się i zacierając ręce, jak po dobrze wykonanej robocie. - Jak się czujesz?

Nie odpowiedział. Jako świetnie wyszkolony agent znakomicie ukrywał swoje emocje. Zrozumiał jednak, że zbyt długo się jej przypatruje, a okoliczności wymagają, by nawiązał z nią przyjacielską pogawędkę.

Ale potrzebował czasu. Znał tę kobietę, pamiętał ją sprzed wielu lat. Jej twarzy nie sposób było zapomnieć.

Dawno temu była współlokatorką jego siostry w internacie ekskluzywnej szkoły. Rachunki przysyłane przez właścicieli tego wspaniałego przybytku wiedzy jeszcze do dzisiaj śniły się Denverowi po nocach.

- Czy na pewno dobrze się czujesz? - spytała kobieta, zaniepokojona przedłużającym się milczeniem. Wzrokiem poszukała jego twarzy.

Denver bezwiednie skinął głową, choć myślami błądził gdzie indziej. Ta kobieta była jeszcze piękniejsza niż w jego wspomnieniach. Jedwabiste, pszeniczne włosy okalały twarz z ogromnymi, fiołkowymi oczami. Jej niespokojne i małe dłonie kojarzyły mu się ze skrzydłami kolibrów. Miała na sobie białe szorty i niebieską bluzkę, a jej kremowa skóra

kusiła świeżością. Z pozoru wyglądała jak nastolatka, lecz przeczyło temu dojrzałe i mądre spojrzenie.

- Nazywam się Charlie Smith - przedstawiła się.
- Akurat - szepnął zaskoczony. - Adrianna Charlyne

Chandler bardziej by do ciebie pasowało.

- Co takiego? - zapytała zaskoczona.

Denver tylko potrząsnął głową, mając nadzieję, że jego dziwne pomruki zostaną złożone na karb złego samopoczucia.

Charlie Smith, a to dobre, pomyślał. Ale zaraz, przecież ona mogła wyjść za mąż i zmienić nazwisko. Na pewno jej mężem jest przystojny i odnoszący sukcesy przedsiębiorca. Ktoś, kto nosi eleganckie garnitury, a telefon komórkowy jest przedłużeniem jego ręki. Ona na pewno bardzo kocha swojego mężczyznę. Denverowi jednak genetycznie bliższy byłby hipopotam niż taki facet.

- Nazywam się Denver - powiedział wreszcie. - Denver eee... Smith.

Zaśmiała się rozbawiona.

- Nie, serio? Też się nazywasz Smith?

Skinął głową, zastanawiając się, czy jej nazwisko było równie prawdziwe jak jego. Wynajął chatę jako D. Smith, kierując się starym przyzwyczajeniem. Lata praktyki nauczyły go, by zawsze występować incognito, wszak ostrożności nigdy za wiele.

- Cóż za zbieg okoliczności - powiedziała, tak jakby naprawdę w to wierzyła.

- Rzeczywiście - odpowiedział, modląc się w duchu, by nie wyczuła sarkazmu w jego głosie. Sarkazm bardzo przydawał się w jego pracy, ale był niepożądany w kontaktach towarzyskich. Ostrożnie wstał i z dużym trudem zrobił kilka kroków,

jednak prawe kolano stanowczo zaprotestowało. W ostatniej chwili Charlie uratowała Denvera przed upadkiem.

- A to pech - stwierdziła. - Nie zajdziesz daleko z taką nogą, prawda?

Nie odpowiedział, był bowiem zbyt oszołomiony dotykaniem jej rąk i niezwykłym, miodowym zapachem ciała. Gdy pomagała mu usiąść, uświadomił sobie, że po raz pierwszy są tak blisko siebie. Tak naprawdę nigdy przedtem z nią nawet nie rozmawiał.

- Gdzie się zatrzymałeś? - zapytała.

Skinął głową ku szczytowi wzgórza.

Charlie z troską przyjrzała się jego nodze.

- Nie dasz rady wejść tam o własnych siłach. Chyba wezwę pomoc.

- Nie ma potrzeby - szybko odpowiedział Denver. - Jakoś sobie poradzę.

Charlie spojrzała na niego zdumiona.

- Nie, to na nic. Posłuchaj, moja chata jest trochę niżej, blisko stąd. Zabiorę cię do siebie, odpoczniesz, a potem zdecydujesz, co robić dalej.

- Nie ma mowy.

Denver próbował wstać, ale znów się zachwiał i byłby upadł, gdyby i tym razem Charlie nie czuwała nad nim.

- Daj spokój! Przestań się upierać. Zabieram cię do siebie.

- Ale twój mąż...

- Nie mam męża. Mieszkam tylko z pięcioletnim synkiem. Twoja wizyta będzie dla niego atrakcją. Idziemy.

Zawahał się, lecz Charlie była tak stanowcza, że dalszy opór nie miał sensu. Zresztą, jego noga była naprawdę w oplakanyam stanie. Po raz pierwszy od śmierci matki był posłuszny kobiecie.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Podczas schodzenia musiał zdać się na jej pomoc. Charlie była silniejsza, niż można by przypuszczać. Denver zacisnął zęby i starannie unikał jej spojrzenia. Nie zwykł korzystać z niczyjej pomocy, a teraz był zależny od siły kobiecego ramienia. Czuł się poniżony. Lecz gdy tylko próbował stanąć na kontuzjowanej nodze, przeszywał go ostry ból. Na domiar złego przemoczone spodnie oblepiały mu nogi, a zimny wiatr powodował dodatkowe katusze.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała Charlie i obdarzyła go uśmiechem. - Moja chata jest zaraz za tą przystanią.

Denver podniósł głowę i zobaczył przed sobą mały domek.

- To tu?

- Nie, ten należy do mojej przyjaciółki Margo i jej męża. - Charlie uśmiechnęła się ironicznie. - Jeśli nas akurat widzi, na pewno już obdzwaniana całą okolicę. Mieszkamy obok.

Zobaczył małą chatę, tonącą w różnobarwnych kwiatach. Miał wrażenie, że lada chwila na progu ukaże się szalona wróżka i wyczaruje następne pnącza. Dodatkowo drzwi ozdobiono drewnianą tabliczką z napisem: „Witaj w domu”. Denver nie był ani trochę zachwycony tym widokiem.

Dom. Zabawne, że słowo to miało swój wydźwięk nawet dla kogoś, kto nigdy nie miał domu.

- Chyba zbyt pochopnie wywiesiłaś ten napis. Nigdy nie

wiadomo, komu przyjdzie ochota potraktować zaproszenie dosłownie. - Spojrzał na Charlie i zauważył, że przygryza dolną wargę, pomagając mu przekroczyć próg. - Nigdy za wiele ostrożności w naszych czasach - dodał szybko, zażenowany swoją poprzednią uwagą.

Nie odpowiedziała. Gdy weszli do środka, Denver rozejrzał się po wnętrzu. Ściany pokryte były ręcznie haftowanymi makatkami, na kuchennym blacie stały wypolerowane miedziane rondle i patelnie. Istny domek Królowej Śnieżki, czekającej na powrót siedmiu krasnoludków. No, może z jedną różnicą: nie było tu śladu mężczyzny, który miałby więcej niż pięć lat.

Gdy odpoczywał na krześle, Charlie poduszkami wymościła kanapę, kładąc w wezłowie plik czasopism. Przyglądał się jej rozjarzonym przez słońce włosom. Sporo uwagi poświęcił jej piersiom, których kształt zaznaczał się pod cienką bluzką. Nie były ani zbyt małe, ani zbyt duże. Właśnie takie lubił najbardziej.

- W porządku, panie Smith, podaj mi rękę, bo przenosimy się na kanapę.

- Sam sobie poradzę - powiedział, odsuwając się od niej. Obserwowała go przez chwilę, a gdy wreszcie wygodnie się ułożył, powiedziała:

- Chyba trzeba wezwać lekarza.

- Nie ma mowy.

Powiedział to tak stanowczo, że przestała nalegać.

- Nie potrzebuję lekarza - powtórzył i spojrzał jej w oczy. - Ale potrzebuję twojej pomocy. Sam nie dam rady zdjąć spodni.

Oczy Charlie rozszerzyły się, a ona sama z trudem powstrzymała śmiech. Widać było, że Denver sądził, iż ta prośba ją zaszokuje.

- Sądzisz, że nie przywykłam do takich zajęć? Szanowny panie, dla mnie to bułka z masłem. - Bez wahania podeszła do niego. - Zdejmowanie męskich spodni to moja specjalność. Teraz pana kolej.

Podczas gdy Denver leżał jak skamieniały, Charlie szybko i sprawnie rozpięła mu pasek i guziki.

- Może trochę jednak mi pomożesz? - zapytała niewinnie.

Powstrzymał się od przekleństwa, ale jego oczy iskrzyły się złością.

- Robię, co mogę - powiedział, wspierając się na łokciach i unosząc biodra. Zapragnął nagle, by Charlie jak najszybciej uporała się z jego spodniami, bowiem obawiał się, że za chwilę nie będzie w stanie zapanować nad własnym ciałem.

Czuł się nie w porządku wobec kobiety, którą przez lata idealizował. Ale co tam, przecież tak naprawdę gorąco jej pragnął. Nigdy nie marzył, że kiedykolwiek będzie tak blisko niej, a oto teraz ona zdejmowała mu spodnie.

- A jak twoja koszula? - zapytała, wyzymając spodnie i kładąc je blisko kominka.

- Prawie sucha - odpowiedział szybko.

Charlie dotknęła koszuli i obrzuciła Denvera karcącym spojrzeniem:

- Zdejmuj to! Chyba nie chcesz nabawić się zapalenia płuc.

Pomogła mu się rozebrać i szybko przykryła go kocem.

- Chciałabym jeszcze raz zerknąć na twoją nogę.

Mówiąc to, przysunęła mały stolik bliżej kanapy.

- Nie... - zaczął protestować, lecz jej małe dłonie już delikatnie badały jego kolano.

- Nie mam zamiaru bawić się w lekarza, ale trochę się na

tym znam. - Dostrzegłszy jego zdziwione spojrzenie, wyjaśniła: - Raz w tygodniu pracuję jako wolontariuszka w miejscowym szpitalu. Tam nabrałam praktyki w rozbieraniu mężczyzn.

- Ach, tak. - Denvera stać było tylko na taką odpowiedź. Charlie była tak blisko niego, czuł jej delikatny dotyk na swojej szorstkiej skórze.

- Widziałam już wiele połamanych i zwichniętych nóg. Zimą gościmy tu tabuny narciarzy.

Denver wciąż milczał. Był niemal zahipnotyzowany jej obecnością, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Co się właściwie stało? Czy jest już w niebie pod czułą opieką anioła? Nie, dotyk żadnego anioła nie podniósłby tak ciśnienia krwi w jego żyłach. Odpędził tę myśl jako bluźnierstwo.

- Naprawdę? - odpowiedział wreszcie.

Charlie skinęła głową i nadal badała jego nogę. Denver wziął głęboki oddech i próbował liczyć od stu do jednego, ale wciąż się mylił. Mógł myśleć wyłącznie o Charlie, dzielnej wolontariuszce ratującej pechowych turystów. Jeśli nawet nie była aniołem, to na pewno dążyła do świętości. I zaraz mu opowie, jak to każdego ranka uwalnia z wnyków dzikie wilki i lisy. I jak przygarnia bezdomnych, odziewa nagich i karmi głodujących. Denver nie wiedział, dlaczego myśli o niej z takim sarkazmem.

Może dlatego, że cały ten altruizm kłócił się z jej wizerunkiem, jaki zachował w pamięci. Owszem, Charlie była miła, ale skoncentrowana na sobie i snobistyczna jak większość tych bogatych pańienek z ekskluzywnych szkół. Coś musiało ją odmienić albo była świetną aktorką.

- Myślę, że kości są całe - powiedziała - ale twoja rzepka...

- Och! - jęknął i poruszył się, gdy dotknęła bolącego miejsca.

Równocześnie sięgnęli po zsuwający się koc. Charlie ubiegłaby Denvera, ale coś ją powstrzymało. Ujrzał przestrasch w jej oczach, wiedział, co ją tak poruszyło. Na klatce piersiowej miał dużą, paskudną bliznę.

Okrył się szczelnie i wstrzymał oddech. Charlie zaraz na pewno zacznie histeryzować, jak każda kobieta w takiej sytuacji. Zmusił się do spojrzenia jej w oczy, szukając w nich choćby cienia współczucia.

- Założę się, że będziesz miał co opowiadać swoim wnu-  
kom - powiedziała po prostu, przykrywając jego poranioną  
nogę. - Pewnie żyłeś jak awanturnik.

Gdy wstawała, obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. Jesz-  
cze nikt nie był tak bliski prawdy w ocenie jego trybu życia.

Nachyliła się nad nim, muskając go włosami, a pod bluzką  
zazaczył się kształt jej ponętnych piersi. Świat znowu zawir-  
rował mu przed oczyma. Jak lunatyk, działając pod wpływem  
czystego impulsu, schwycił ją za przegub dłoni i mocno  
przytulił. Była taka miękka, taka cudowna. Pożądał jej tak  
bardzo, jak rozbitek pragnie wyspy na środku wzburzonego  
oceanu..Nie próbowała się uwolnić. Wyglądała na zdziwioną,  
ale nie przestraszoną. Uważnie mu się przypatrywała. Denver  
również ją obserwował, ale z jej wzroku nie umiał niczego  
odczytać. Instynktownie jednak czuł, że uległaby jego poca-  
łunkom. Tylko centymetry dzieliły go od jej ust.

Ale nie wolno mu tego zrobić. Nie była to przecież jakaś  
tam, poderwana w czasie leśnej przechadzki, kobieta. To była,  
na litość boską, Charlyne Chandler.

Puścił ją bez słowa, a ona powoli się odwróciła. Denver  
nie wiedział, czy była rozczarowana, czy też zde gustowana.  
I chyba nie chciał tego wiedzieć.

- Nie powinnaś tego robić - powiedział łagodnie, gdy  
siadała przy stoliku.

- Czego? - zapytała, odgarniając włosy z twarzy.

Obserwował ją z uniesionymi brwiami.

- Kiedy mężczyzna był długo na pustyni, nie powinnaś wabić go szklanką wody, o ile nie zamierzasz go napić.

Pożałował tych słów już w chwili, gdy je wypowiadał. To była dobra metafora, ale wypowiedziana na głos zabrzmiała prostacko. Patrzył na Charlie, zastanawiając się, co sobie o nim pomyślała. Przez długi czas przyglądała mu się, aż nagle wybuchnęła głośnym śmiechem.

- To najbardziej arogancka wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałam.

Zmusił się do uśmiechu.

- Tylko cię ostrzegam. Mężczyźni łatwo zapominają o dobrych manierach.

- Nie jesteś zwykłym mężczyzną - zaprotestowała, wstając od stolika. - Jesteś rannym mężczyzną.

- Musiałbym być martwy, żeby nie mieć ochoty na...

- Dobra, dobra - powiedziała szybko, uniemożliwiając mu kontynuowanie tego tematu. - Muszę teraz pójść się przebrać.

Zostawiła go samego. Denver był na siebie wściekły. Nie zamierzał kończyć dnia na kanapie. Im prędzej się stąd wyniesie, tym lepiej. Charlie wróciła po chwili, już przebrana. Niestety, ponieważ się ochłodziło, włożyła dzinsy i koszulę z długimi rękawami, pod którymi zniknęło jej jasne, podniecające ciało. Denver poczuł rozczarowanie, ale i pewną ulgę. Może teraz atmosfera trochę się zmieni. Charlie uklękła przy kominku, by podsyć ogień. Denver czuł nieodpartą pokusę udzielenia jej kilku bezcennych porad na temat rozpalania ogniska, lecz w porę się powstrzymał.

A później zaczął się zastanawiać, czego ta dama szuka w tej dzikiej głuszy. Charlyne, którą pamiętał, pasowała do

rezydencji z wypielegnowanym ogrodem i rojem służby. Co spowodowało, że wybrała takie życie?

Rozmawiała z nim o błahych sprawach, nie zadawała żadnych pytań i Denver ku swemu zdziwieniu zauważył, że bardzo go to uspokaja. Gdy powoli zapadał w drzemkę, z dworu dobiegło go krótkie szczeknięcie i skrobanie do drzwi.

- A teraz zrozumiesz, dlaczego czuję się tu bezpieczna. - Z uśmiechem otworzyła drzwi. - Poznaj Sabrinę.

Do pokoju wbiegła duża i ciemna suka husky. Wiedziała, że tam, na kanapie, leży ktoś obcy. Natychmiast podbiegła do Denvera, stukając pazurami o drewnianą podłogę.

- Sabrina, uspokój się! - krzyknęła Charlie. - Sabrina jest znana z tego, że nieufnie traktuje wszystkich mężczyzn - dodała, bacznie obserwując pierwsze spotkanie jej psa z Denverem. - Jeszcze nikogo nie ugryzła, ale nigdy nic nie wiadomo.

Tymczasem pies oparł się przednimi łapami o nieznanego i zaczął go dokładnie obwąchiwać. Charlie chciała zabrać Sabrinę, ale Denver dał jej do zrozumienia, że bardzo pragnie poddać się psiemu testowi. Suka szczeknęła i dwa razy machnęła ogonem, jakby chciała w ten sposób powiedzieć, że wszystko jest w porządku, Charlie roześmiała się.

- Ty stara cwaniaro. - Mówiąc to, podrapała psa za uszami.

- Ładny pies - powiedział Denver. - Ma oczy jak istota ze starych, indiańskich legend. Odnosi się wrażenie, że jest w nich ukryta cała odwieczna mądrość natury.

Charlie potrząsnęła głową.

- Nie ufaj pozorom. W głębi serca wciąż jest szczeniakiem.

Charlie wyszła, do kuchni, wciąż mówiąc do niego. Denver słuchał nie tyle słów, co jej cudownego głosu. Doszedł

do wniosku, że Charlie, mimo wczesnej pory, przygotowuje już obiad. Obserwując płomienie w kominku, przez cały czas napawał się melodią jej słów. Na chwilę zamknął oczy i rozmarzył się.

Z kuchni dobiegał szcęk garnków i szum wody. Charlie nuciła coś i nagle gwałtownie zapragnął ją zobaczyć. Obrócił się na kanapie, by móc zaglądać do kuchni.

- Czy naprawdę gotowanie to taka frajda? - zapytał, widząc jej radosną krzątaninę.

Charlie spojrzała na Denvera, jakby nagle przypomniała sobie o jego obecności.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała ze śmiechem, a włosy zafalowały wokół jej ramion.

- Wspaniały zapach - przyznał.

- Czy lubisz pieczeń wołową?

Kiedy ostatni raz jadł domową pieczeń? Od lat żywił się hamburgerami i innymi świństwami serwowanymi na wynos. Poznał też różne garkuchnie na całym świecie. Pieczeń wołowa była bardzo pracochłonnym daniem i kojarzyła mu się z matką. W niedzielę całą rodziną chodzili do kościoła, a na obiad jedli właśnie pieczeń.

Zdumiał się. Skąd się wzięły u niego te nostalgiczne wspomnienia? Taki styl życia nigdy go nie pociągał. Może już rodzimy się obarczeni stereotypami, a później próbujemy wcielić je w życie. Próbujemy i ponosimy klęskę.

- Nie wiedziałam, że to pytanie okaże się dla ciebie takie trudne - skomentowała Charlie przedłużające się milczenie.

Wyglądał na niezbyt przytomnego, ale wreszcie przypomniał sobie, o co go pytała.

- Tak, pewnie, że lubię pieczeń wołową.

- To świetnie, jest jej bardzo dużo. Dokładki mile widziane.



Pomyśleć by można, że Denver był oczekiwanym gościem. Nagle perspektywa domowego jedzenia zaczęła go pociągać. Wygodnie usiadł i oddał się kulinarnym marzeniom. Dobrze wiedział, że powinien już iść, ale kawałek dobrej pieczeni jeszcze nikomu nie zaszkodził, nieprawdaż?

- Wiesz - powiedziała Charlie, wychodząc z kuchni - myślę, że naprawdę powinienes pójść do szpitala.

Skrzywił się, podnosząc chorą nogę.

- Z powodu takiego drobiazgu?

- Porządnie cię zbadają, zrobią prześwietlenie...

Energicznie potrząsnął głową.

- Nie, nie mam zamiaru iść do szpitala.

W tym roku spędził w nich zbyt wiele czasu.

- Bywało już ze mną gorzej. Ludzkie ciało ma to do siebie, że potrafi leczyć się samo. A moje ma w tym dużą praktykę.

Charlie spojrzała na niego zdziwiona, ale powstrzymała się od komentarza.

- No dobrze. Nie mogę cię do niczego zmuszać.

Podeszła do drzwi i zawołała:

- Zostajesz na straży, bo ja muszę odebrać Robbiego.

Wychodzi ze szkoły o trzeciej...

Sabrina podążyła za swoją panią. Charlie zatrzymała się przy drzwiach i spytała na odchodnym:

- Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę, prawda?

Jej twarz zdobił promienny uśmiech, a oczy radośnie błyszczały. Całe szczęście, że Denver przez te wszystkie lata nauczył się panować nad sobą. Mniej zdyscyplinowanego mężczyznę jej widok pozbawiłby wszelkich hamulców.

- Pewnie, że będę. Dokąd, do cholery, miałbym pójść?

Twarcz Charlie stężała.

- No cóż, i tak zamierzałam z tobą pomówić. Proszę, byś

w obecności mego syna bardziej uważał na słowa. Nie podoba mi się, że tak często przeklinasz. To co prawda wolny kraj, ale nie rób tego przy Robbiem. Na to nie pozwolę.

Znów miała nad nim przewagę. Nie zdawał sobie sprawy, jak często był nieuprzejmy -jak jakiś dzikus z gór, który nie umie zachować się w towarzystwie. Wspaniale. A więc doszło już do tego, że przeklina w obecności kobiety. Wycho- wano go przecież w poszanowaniu pewnych wartości, więc chyba już czas do nich wrócić.

- Nie martw się, będę uważał.

Na twarz Charlie powrócił uśmiech. Ucieszyło ją to, że Denver tak pokornie przyjął krytykę.

- Doceniam to - powiedziała, zatrzymując się w drzwiach.  
- Wrócę z Robbiem za niecałą godzinę.

Wyszła, nie czekając na odpowiedź. Denver patrzył na zamykające się drzwi. Jak mogło dojść do takiej sytuacji? Przecież przyjechał tu, by odpocząć i nabrać sił. Podświadomie jednak czuł, że przygoda z Charlie będzie dość wyczerpująca.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po wyjściu z domu Charlie ruszyła w stronę miasta. Z kominu chaty Margo unosił się dym, a zatem jej przyjaciółka pewnie krzątała się po kuchni. Charlie przez chwilę zastanawiała się, co jej sąsiedzi pomyślą o tym, że przyjęła pod swój dach obcego mężczyznę. Natychmiast jednak porzuciła te obawy. Ten sposób jej myślenia należał już do przeszłości. Teraz była zupełnie inną osobą.

Było dość późno, musiała się więc pospieszyć. Nie wiedziała dlaczego, ale dzisiaj wprost tryskała energią.

- Czyżby to z powodu tego faceta? - mruknęła pod nosem i głośno się roześmiała.

Mężczyzna - wspomniały temat do rozmów dla wielu kobiet, lecz nie dla niej. Tak długo żyła samotnie, że teraz nie wiedziała, jak zachowywać się wobec niespodziewanego gościa. W jej życiu też kiedyś był mężczyzna, ojciec jej syna. I za to będzie mu zawsze wdzięczna. Lecz ponieważ zamienił jej życie w piekło, odeszła od niego.

Niektóre kobiety nie są stworzone do małżeństwa. Charlie doszła do wniosku, że jest jedną z nich. Jej małżeństwo było koszmarem i ostatecznie zniechęciło ją do związków z mężczyznami. Miała szczęście, że udało jej się uciec i że nikt jej dotąd nie znalazł. Była ze swoim synem Robbiem i to jej wystarczało. Nigdy nie była bardziej szczęśliwa.

A więc dlaczego wpuściła pod swój dach Denvera tak

łatwo, jak przygarnia się zranione szczenię? Nie była pewna. Przez moment wydawało się jej, że już go kiedyś widziała. Ale to niemożliwe. Dawniej żyła w świecie, w którym nie było miejsca dla mężczyzny jego pokroju. Jednak było coś znajomego w jego twarzy, choć on sam zachowywał się tak, jakby widział ją po raz pierwszy.

Wiedziała, że jeśli nawet kiedyś zdecyduje się na ponowny związek, nie będzie to nikt w stylu nowego znajomego. Poszukałaby raczej kogoś solidnego i opiekuńczego. Denver był zbyt szorstki, zbyt niebezpieczny. Było w nim coś niepokojącego, sprawiał wrażenie człowieka zdolnego do najbardziej gwałtownych czynów.

I te blizny na jego ciele! Zadrżała na wspomnienie o nich. Widziała w szpitalu dostatecznie dużo, by mieć pewność, że nie były to sportowe kontuzje. Te rany na pewno pochodziły od noża i od pocisków. Musiał być zamieszany w bardzo niebezpieczne afery.

No i moment, gdy schwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Zobaczyła w jego oczach dzikie pożądanie. Wtedy jej serce zaczęło bić szybciej, z trudem łapała oddech. Czekwała na pocałunek, ale do niczego nie doszło. Czy naprawdę była gotowa paść mu w ramiona? Potrząsnęła głową i odpędziła te myśli. Po co komplikować sobie życie?

Gdy dotarła do szkoły mieszczącej się w małym, drewnianym budynku, Robbie już na nią czekał. Przytuliła syna mocno, poczuła jego słodki, dziecięcy zapach i jeszcze raz w myślach podziękowała Bogu za swoje szczęście.

- Były robaki - powiedział uszczęśliwiony.
- Robaki? - Miała nadzieję, że nie mówi o lunchu

w szkolnej stołówce.

Robbie skinął głową, a jego oczy rozbłyły podnieceniem.

- Były ogromne, chowały się w ziemi.

- Ach, tak! - Charlie roześmiała się. - Czy wszystkie się schowały?

- Tak, obserwowaliśmy to, a później znowu je wykopywaliśmy.

- Cudownie.

Robbie podniósł główkę i spojrział na nią.

- Czy mógłbym hodować w domu robaczka, chociaż takiego maleńkiego?

Charlie zawahała się. Dżdżownica jako zwierzątko domowe?

- Obawiam się, że nie, kochanie - powiedziała. - Robaki źle znoszą niewolę.

Zobaczyła wyraz rozczarowania na okrągłej buzi synka i szybko dodała:

- Ale wiesz co, myślę, że mamy pełno robaków w naszym ogródku. Możemy wykopać trochę ziemi i sprawdzić.

- Naprawdę? - Robbie znów był szczęśliwy. - Wspaniale! Jeśli jakiegoś znajdę, nazwę go Cowabunga.

I pobiegł z Sabriną między drzewa.

Charlie uśmiechnęła się. Robbie zawsze potrafił ją rozbawić. Był radością i celem jej życia. Będzie z nią, zanim dorośnie, a później czeka ją samotność. Ale dzisiejszy dzień jest zbyt piękny, by poddawać się czarnym myślom.

Czasami przyjeżdżała po Robbiego skuterem, ale wolała wracać do domu na piechotę i słuchać jego szkolnych opowieści. Jej dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe. Robiła wszystko, by traktować swoje dziecko inaczej, niż czyniła to jej matka.

Nagle znów pomyślała o Denverze i poczuła przyjemne mrowienie skóry. Natychmiast zganiała się za własną głupotę.

- A niech to! - szepnęła do siebie. - Ten jegomość jest naprawdę niebezpieczny.

Ponownie zadrżała. Jeśli Denver jest aż tak bardzo groźny, to po cóż, do licha, wpuszczała go do swojego salonu?

Z trudem pohamowała śmiech. Co by się działo, gdyby jej matka dowiedziała się o tej sprawie? Wyobraziła sobie jej twarz i z niesmakiem cedzone słowa: „To chuligan. Nie zapraszamy takich ludzi do naszego domu”.

- Nie, mamó, to ty nie zapraszasz, a ja i owszem. Z tego właśnie powodu nie mieszkamy już razem - szepnęła.

Odważne słowa, pomyślała ironicznie. Szkoda, że nigdy nie powiedziała matce czegoś takiego prosto w twarz. Cóż, nie ulegało wątpliwości, że Denver nie był łagodny jak baranek. Wyczytała to z wyrazu jego oczu... no i te blizny. Nigdy nie miała do czynienia z facetem, którego ciało przypomina tarczę strzelniczą.

- Weź się w garść - przywołała się do porządku, a na jej twarz powrócił uśmiech.

Zza drzew wyłonił się Robbie i znowu szli obok siebie.

- Mamusiu, co się stało, że twoje oczy tak błyszczą?

- Co takiego? - spytała zdumiona.

- Jak gwiazdy. - Mówiąc to, Robbie obserwował ją uważnie.

- Daj spokój - roześmiała się Charlie.

Zmarszczył swój mały, piegowaty nosek i spojrzał na nią przenikliwie.

- Czy masz w domu dla mnie jakąś niespodziankę? - zapytał ostrożnie.

Zdziwiona Charlie potrząsnęła głową.

- Skąd wiedziałeś?

- Poznałem po twoich oczach. Wyglądasz jak niespodzianka.

Śmiejąc się, schwyciła go w ramiona i mocno pocałowała.

- Czy to strzelba? - zapytał mały z nadzieją.
- Robbie! - krzyknęła, stawiając go na ziemię. - Nie, to nie jest strzelba i nigdy jej nie dostaniesz. Tego możesz być pewien.

Nie podaruję ci broni i więcej o tym nie rozmawiajmy.

Robbie przyjął ten wykład spokojnie, a następnie wrócił do sedna sprawy:

- A więc jaka to niespodzianka?
- To nie jest zabawka - ostrzegła go. - Poczekaj, zaraz się przekonasz.

Zaintrygowany Robbie przyspieszył kroku, by jak najprędzej znaleźć się w domu.

Charlie patrzyła w ślad za synem. Czasami dręczyły ją wyrzuty sumienia, że Robbie wychowuje się bez ojca. Ale tego nie mogła w żaden sposób zmienić. Myśl o łowach na mężczyznę, który mógłby spełnić tę rolę, napawała ją wstrętem. Robbie będzie musiał zadowolić się mamą. Sytuacja daleka od ideału, ale trudno.

Miała nadzieję, że syn ucieszy się z wizyty Denvera. Ostatnio w ich domu rzadko gościli mężczyźni. Od czasu do czasu przyjaciel Robbiego, Billy, wpadał do nich wraz z rodzicami. Zauważyła, że Robbie był zafascynowany jego ojcem. Rozumiała, jak bardzo syn pragnął mieć własnego tatę. Nie była pewna, czy spodoba się mu Denver, ale wiedziała, że tak niezwykle facet jest odzwierciedleniem chłopięcych snów o idealnym ojcu. Jedyne, co mogła zrobić, to od czasu do czasu zapewnić synkowi męskie towarzystwo.

Robbie szedł coraz szybciej i Charlie musiała podbiec, by go dogonić. Złapał ją za rękę i zmusił do szybkiego marszu. Sabine udzielił się nastrój podniecenia. Zataczała wokół nich coraz większe kręgi i głośno szczełała. W rekordowym czasie dotarli do domu i z impetem wpadli do środka.

W domu panowała absolutna cisza. Zaniepokojona Char-

lie omiotła wzrokiem kanapę i kuchnię. Koc leżał porządnie złożony na stoliku, ogień w kominku dogasał. Nigdzie śladu Denvera. Po prostu zniknął.

Ogarnęło ją uczucie ogromnego zawodu, próbowała jednak na chłodno zanalizować sytuację. No dobrze, poszedł sobie, ale to jeszcze nie koniec świata.

Zaskoczony Robbie również rozglądał się dookoła.

- Gdzie to schowałaś, mamó? Nie widzę żadnej niespodzianki.

- Przepraszam, kochanie - odpowiedziała, bezwiednie gładząc kanapę, na której jeszcze niedawno leżał Denver. Przypomniała sobie jego silne i umięśnione ciało.

- Podejrzewam, że to była jedna z tych znikających niespodzianek.

Odszedł. Jej rozczarowanie rosło i przybierało na sile jak góraska lawina. Przygarnęła do domu zagubioną istotę, opatrzyła jej rany, zamierzała nakarmić. Gdy już zdążyła polubić Denvera, ten bez słowa zniknął. Co za niewdzięcznik! Poczula pustkę w duszy.

Tępy dźwięk dochodzący z dworu przykuł jej uwagę. W pierwszej chwili przestraszyła się, ale zaraz uświadomiła sobie, że z tyłu domu ktoś rąbie drewno. Jej serce zaczęło bić mocniej i szybko podbiegła do okna. Zobaczyła Denvera, jak pracuje zapamiętane z siekierą w dłoni. Poczula lekkość i ciepłą słodycz rozlewającą się po całym ciele.

- Twoja niespodzianka chyba jednak nie zniknęła - zwróciła się do syna i pogłaskała go po główce. - Sprawdźmy.

Mówiąc to, skierowała się do tylnych drzwi.

Był tam, wymachując desperacko siekierą. Szybko wybiegła na zewnątrz.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknęła. - Czy masz zamiar to wszystko porąbać?



Odwrócił się i skinął głową na przywitanie.

- Właśnie to mam zamiar zrobić. - Mówiąc to, wykonał następny szaleńczy zamach siekierą.

- Daj spokój! Powinieneś odpoczywać - powiedziała, patrząc z przestachem, jak Denver po kolejnym ataku na drewno traci równowagę. Podtrzymała go, ale słysząc jego zirytowane sapnięcie, szybko cofnęła rękę.

- Wejdz do środka. Zaraz będziemy jeść.

Denver wiedział, że powinien jej posłuchać, jednak nie miał zamiaru tak łatwo się poddawać.

- Świetnie sobie radzę - odpowiedział wbrew oczywistym faktom. - Noga wraca do normy. Naprawdę nic mi nie jest.

Charlie jednak wiedziała swoje.

- Chodźmy na obiad - powtórzyła.

Wreszcie przestał wymachiwać siekierą i spojrzał na nią.

- Obiad już jest gotowy? Dlaczego tak wcześniej?

- Zawsze jadamy o tej porze, bo o piątej muszę być w pracy.

Denver był wyraźnie zdziwiony.

- Co musisz?!

Lubiła go zaskakiwać. Spojrzała na niego rozbawiona.

- Pomieszać trochę w garach.

Jego zdumienie, ku satysfakcji Charlie, osiągnęło apogeum. Zresztą trzeba przyznać, że jeszcze kilka lat temu wyśmiałyby każdego, kto zaproponowałby jej taką posadę. A gdyby matka się dowiedziała, jak jej wy chuchana córeczka spędza popołudnia, na pewno usiłowałaby ją zamknąć w zakładzie dla psychicznie chorych.

- Tak naprawdę pracuję w małej, miłej restauracji w mieście. Naszą specjalnością są egzotyczne dania, na przykład wieprzowina mu shu i kurczaki w tajskim sosie arachidowym.

Denver nadal gapił się na nią, jakby nie wierzył w ani jedno jej słowo.

- To nic nadzwyczajnego - powiedziała z lekką irytacją w głosie. - A co ty sobie wyobrażałeś? Że jestem tu na wakacjach?

- Nie, skądże - odpowiedział szybko. Nagle zauważył Robbiego.

- Czy to twoje dziecko?

Charlie spojrzała na synka i zauważyła, że jest bardzo onieśmielony. Nie było to zgodne z jego charakterem.

- Tak, to mój syn. - Wskazała na dom i powiedziała z powagą: - Wejdźmy do środka. Zjesz, odpoczniesz, a później zastanowię się, gdzie będziesz spał.

Wyraz oczu Denvera uległ gwałtownej zmianie. Z zakłopotaniem potarł brodę.

- Posłuchaj, muszę iść. Próbowałem porąbać trochę drewna, by odwdziżyć się za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Muszę wracać do siebie i...

Był tak zaaferowany swoją przemową, że zapomniał o chorej nodze. Stał na niej całym ciężarem i omal nie upadł. Charlie schwyciła go mocno za ramiona. Ta nagła bliskość postawnego i muskularnego mężczyzny spowodowała, że zalala ją fala gorąca.

- Wesprzyj się na mnie - powiedziała stanowczo. Miała nadzieję, że Denver nie zauważył, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Już od dawna jej ciało nie reagowało w ten sposób. Sama była tym zaskoczona i niemal słyszała bicie swego serca. Było jak uwięziony ptak, rozpaczliwie uderzający skrzydłami o pręty klatki.

Niebezpieczny. To słowo jak echo wciąż wracało w jej myślach. Rzeczywiście, Denver był niebezpieczny, ale już ona sobie z nim poradzi.

- Nie ma mowy - odpowiedział i odskoczył od niej jak oparzony. - Nie potrzebuję pomocy, sam sobie dam radę.

Zaczął iść w kierunku domu, a Charlie szła za nim, próbując się uspokoić. Niesamowite. Nigdy dotąd tak się nie czuła... jakby jej ciało zaczęło żyć własnym życiem. Musiała jednak przyznać, że było to szalenie podniecające.

- Zaraz uwolnię cię od swego towarzystwa. - Denver skierował się w stronę wyjścia z ogrodu. Widać było, że nie miał zamiaru wejść do domu.

- Nie! - krzyknęła, podskoczyła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę, musisz coś zjeść. Spójrz tylko na siebie.

Denver odwrócił głowę i bacznie się jej przyjrzał. Charlie odniosła wrażenie, że poznał jej najskrytsze myśli. A miała co ukrywać. Schwyciła go za ramię po to, by znów poczuć jego silne, męskie ciało. Pragnęła, by został u niej jak najdłużej, łaknęła jego obecności. Silne rumieńce zabarwiły jej policzki, ale zbyt szybko się tym nie przejęła. Obecność Denvera sprawiła, że powróciły dawno zapomniane emocje.

- Daj spokój - przekonywała, popychając go w kierunku domu. - Chodźmy lepiej na obiad.

Poddał się temu i bez entuzjazmu pozwolił się jej prowadzić. Wiedziała, że uczucie bezsilności doprowadza go do szału. Podejrzewała jednak, że nie była to jedyna przyczyna jego uporów. To, co się wcześniej zdarzyło między nimi, powróciło w chwili, w której go dotknęła i była pewna, że on odczuwa to podobnie. I chyba mu się to nie podobało. By pokryć zmieszanie, zaczęła paplać o pogodzie.

- Usiądź - powiedziała, gdy weszli do salonu. - Zaraz podam obiad.

Denver znów szykował się do kłótni, ale dolatujący z kuchni smakowity aromat pieczeni spowodował, że złożył broń.

Usiadł ostrożnie przy stole. Charlie obserwowała go ukradkiem. Jednocześnie zaniepokoiła się, że nigdzie nie widzi Robbiego.

Znalazła synka w sypialni i zaprowadziła go do łazienki, by umył ręce. Poszedł za nią dość chętnie, ale widać było, że coś go trapi.

- Mamusiu, kim jest ten pan? - zapytał, obficie namydlając ręce. Jego oczy były czujne.

- Jest moim przyjacielem - odpowiedziała. - Czy chcesz się z nim przywitać?

Robbie długo nie odpowiadał. Mył się powoli i starannie, jak chirurg przed operacją.

- Czy to on jest tą niespodzianką? - zapytał i obrzucił Charlie szybkim spojrzeniem.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem. - Pomyślałam, że ucieszy cię widok mężczyzny przy naszym stole, bo zdarza się to tak rzadko.

Robbie skinął głową i pogrążył się w głębokiej zadumie.

- Jest okropnie duży - powiedział wreszcie.

Charlie serdecznie się roześmiała:

- O tak, jest bardzo duży.

Robbie zmarszczył swój piegowaty nosek.

- Czy jesteś pewna, że on lubi chłopców? - zapytał z powagą.

- Oczywiście - odpowiedziała Charlie bez zastanowienia i podała mu ręcznik. - Czy można was nie lubić?

- Pani Rathworth nie lubi chłopców. Zawsze się wydziera, kiedy przechodzę obok jej domu. Krzyczy, bym trzymał się z daleka od jej jabłonek.

Charlie spoważniała i zapytała:

- Czy wchodziłeś kiedykolwiek do jej ogrodu?

Robbie pokręcił głową.

- Ja nie, ale paru chłopców z piątej klasy ukradło jej jabłka - powiedział, jakby powierzał mamie największą tajemnicę.

- Widzisz więc, że nic nie dzieje się bez powodu. Jeżeli kogoś skrzywdzisz, to nie spodziewaj się, że będzie dla ciebie miły. Powinieneś o tym pamiętać, zanim zrobisz coś głupiego.

- Dobrze - odrzekł potulnie. Uniósł w górę dłonie, by mogła im się przyrzec. - Spójrz, jakie czyste.

- Rzeczywiście - przyznała mu rację i wyszli z łazienki. Zaprowadziła go do jadalni i przedstawiła Denverowi, który na przywitanie skinął chłopcu głową, ale zdawał się go nie dostrzegać. Robbie wolał iść z matką do kuchni, niż zostać z nieznanym w pokoju. Matka i syn nakryli do stołu. Gdy wszystko było gotowe, Charlie z zadowoleniem obrzuciła wzrokiem jadalnię.

- Na zdrowie! - wzniosła toast szklanką z mlekiem.

Robbie i Denver milczeli, ale nie przejęła się tym. Wyglądali jak prawdziwa rodzina i dlatego nic nie było w stanie popsuć jej dobrego nastroju.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pieczeń błyskawicznie znikła z talerza. Pochłaniając kolejne kęsy, Denver z trudem powstrzymywał się od wydawania błogich pomruków.

- Wspaniałe jedzenie - powiedział, choć nie był przyzwyczajony do prawienia komplementów. - Szkoda, że nie wszystkie matki uczą swoje córki gotować.

Charlie szczerze się roześmiała.

- Moja matka nigdy w życiu nie zhańbiła się gotowaniem. - Z rozbawieniem wyobraziła sobie tę dystygowaną damę odzianą w kwiecisty fartuszek, z rękami oblepionymi ciastem. - Ona nawet potrafi odróżnić schabu od polędwicy wołowej. - Nabrała następny kęs i mówiła dalej: - Ale jest w stanie zaplanować menu dla trzech tysięcy osób zaproszonych na dobroczynny lunch, a tego ja bym na pewno nie potrafiła - dodała i szybko pożałowała swoich słów. Zważywszy na jej obecną sytuację, takie wyznanie musiało być szokujące. Zerknęła na Denvera, chcąc sprawdzić jego reakcję.

Ale on zdawał się być pochłonięty jedzeniem i wyraźnie unikał jej wzroku. Przecież wiedział wszystko o jej matce.

Zerknął na Charlie. Mówiła coś do Robbiego i to pozwoliło mu przyjrzeć się jej uważnie bez zwracania na siebie uwagi. Była ładna i energiczna, a w jej oczach często rozpały się iskierki. Czy zawsze taka była? Nie w jego wspo-

mnieniach. Pamiętał, jak wyglądała, gdy przed laty widział ją po raz ostatni.

To był dzień promocji w Akademii Arcadana. Przyjechał, by zobaczyć, jak jego siostra odbiera dyplom. Rozpierała go duma. Gail niczym nie różniła się od innych dziewcząt. Wysoka i smukła, pewna siebie, roześmiana i pełna wdzięku. Nikt by nie powiedział, że jej ojciec zarabiał na utrzymanie rodziny ciężką, fizyczną pracą. Ich rodzice byli biedni, nie należeli do uprzywilejowanej klasy. Ale Gail świetnie przystosowała się do nowego otoczenia. To było to, o czym dla niej marzył, po to tak ciężko harował.

Po uroczystości z oddali obserwował siostrę. Przyjaciółki przedstawiały ją swoim rodzinom, nie chciał więc jej przeszkadzać. Nie chodziło o to, że poczułby się nieswojo wśród eleganckich mam i ojców. Te sprawy nigdy nie miały dla niego znaczenia. Swoich twardych mięśni nie zbudował, grając na kortach tenisowych. Modną opalenizną zawdzięczał niebezpiecznej akcji na Saharze, a nie godzinom spędzonym w elitarnym klubie golfowym. Jego włosy były trochę za długie, a ubranie niezbyt eleganckie. Ponieważ włóczył się po świecie, preferował luźne, sportowe stroje. Nie pasował do wytwornego towarzystwa, ale było mu to najzupełniej obojętne. Jednak nie chciał, by Gail poczuła się zakłopotana. Był szczęśliwy, że odniosła sukces i stała się częścią innego świata.

Nagle go zobaczyła i wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie. Z okrzykiem radości podbiegła do niego i uwiesiła mu się na szyi. Nie przejmowała się tym, co inni pomyślą o jej bracie. Denver poczuł ciepło w okolicy serca. Lecz gdy Gail podbiegała do niego, zauważył, że wiele osób przygląda mu się uważnie. Charlie, a wtedy jeszcze Charlyne, wskazywała na Gail i ze śmiechem coś komentowała. Denver po-

czerwieniał i gwałtownie odsunął się od siostry. Był przekonany, że ta piękna, lecz do szpiku kości zepsuta dziewczyna drwi sobie z niego.

- Cieszę się, że mogę ci pogratulować. - Poglądził Gail po włosach i odwrócił wzrok od Charlyne. - Niestety, muszę już wracać.

Ogromne oczy Gail napełniły się łzami.

- Denver, nie ma mowy, musisz być na przyjęciu. Po prostu musisz! Nie zrobisz mi tego.

Z trudem zmusił się do uśmiechu. Nie wydał pieniędzy na darmo. Jego siostra wysławiała się jak młoda dama z wyższych sfer. Przecząco potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie mogę zostać. Mam pilną robotę i nie mogę się spóźnić na samolot. Zobaczymy się w domu pod koniec tygodnia. A teraz wracaj do przyjaciół.

Gdy Gail odchodziła, popatrzył na Charlyne. Ona też spoglądała w jego stronę, ale już się nie śmiała. Ich oczy spotkały się na chwilę. Denver miał nadzieję, że nie zauważyła, jak wielkie wrażenie na nim wywarła.

A teraz przyglądał się tej samej kobiecie. Obecnie nazywała się Charlie i w niczym nie przypominała dziewczyny, którą nosił w pamięci. Nabrała bardziej kobiecych kształtów, jej twarz emanowała ciepłem, spokojem i mądrością. Nie mógł się w niej doszukać śladu poprzedniej wyniosłości, snobizmu i zepsucia. Co mogło spowodować tak wielką zmianę?

Głęboko się zadumał. Pracując wiele lat jako tajny agent, widział niejedno i nauczył się z rezerwą oceniać zachowanie innych osób. Niezbyt wierzył w cudowne przemiany. Być może Charlie była mistrzynią kamuflażu i nic więcej.

Odpędził wspomnienia i powrócił do teraźniejszości. Charlie prowadziła z synem poważną rozmowę na temat zakupu strzelby.



- Ale Billy jedną ma - przekonywał matkę Robbie.
- Billy może mieć ich nawet tysiąc. Nam nic do tego.

Jesteś za mały. A poza tym nienawidzę broni.

Chłopiec spojrział na Denvera, jakby szukając w nim pociecznika. Jednak ten taktownie milczał i Robbie odwrócił się zawiedziony. Denverowi zrobiło się przykro, ale rozumiał, że nie powinien się wtrącać. On sam dostał strzelbę, gdy miał sześć lat, ale jego rodzina mieszkała na wsi. Czasy się zmieniły. Strzelba nie pasowała do tego chłopczyka, Charlie miała rację.

Cóż za ironia losu, pomyślał. Oto on, człowiek, dla którego posiadanie broni było życiową koniecznością, nie chciał jej widzieć w rękach Robbiego. A może traci ikre? Może już czas, by pomyślał o spokojniejszym zajęciu?

- Nie powinienes tkwić w tym interesie w nieskończoność - powiedział mu niedawno jego przyjaciel. - Znajdź sobie kobietę i załóż wreszcie rodzinę.

Wtedy ten pomysł uznał za niedorzeczny i śmieszny. Z niewiadomego powodu ta rada dzisiaj nie wydawała mu już się tak głupia.

Spoglądając ponad stołem, napotkał wlepione w siebie oczy Robbiego. Zanim zdążył odwrócić wzrok, chłopiec po raz pierwszy odezwał się wprost do niego:

- Proszę pana - powiedział nieśmiało, ale z wielką determinacją - czy złapał pan kiedyś półtorakilogramowego pstrąga?

Denver gwałtownie zamrugał oczami. To było zaskakujące pytanie. Ale dzieci zawsze wydawały mu się dziwne. Nigdy właściwie nie miał okazji, by poznać je bliżej.

- Niestety, nie - odpowiedział ostrożnie<sup>^</sup> mając nadzieję, że Robbiemu to wystarczy.

Spojrzenie chłopca stało się jeszcze bardziej intensywne.

- A tatusiowi Billy 'ego to się udało - powiedział z dumą, a w jego głosie pobrzmiwała złośliwa satysfakcja.

Denver chciał zapytać, kim, do diabła, jest ten Billy, lecz w porę ugryzł się w język. Z opresji wybawiła go Charlie.

- Najadłeś się?

- Bardzo. Wszystko było wspaniałe - odpowiedział zgodnie z prawdą. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakaś kobieta ugotowała coś specjalnie dla niego. Zamierzał jej powiedzieć, jak bardzo to docenia, lecz po krótkim namyśle zrezygnował z tego pomysłu.

Charlie posprzątała naczynia i usiadła obok Denvera, wyraźnie mając ochotę na pogawędkę. Poczł się nieswojo i zapragnął jak najprędzej opuścić ten dom.

- A więc, panie Smith – powiedziała z uśmiechem - jak długo zamierza pan zostać?

- Około pięciu minut - odrzekł pośpiesznie, unikając jej spojrzenia.

Zaśmiała się.

- Nie chodzi o mój dom. Miałam na myśli pobyt w tutejszej okolicy.

- Kilka tygodni - odpowiedział, nie wdając się w szczegóły. Poobiednie pogawędki nigdy nie należały do jego ulubionych zajęć.

- Co sprowadza cię do naszej małej miejsciny? Jest tu tylko jezioro i nieczynny wyciąg narciarski, który Hal Waters usiłuje komuś sprzedać. Żyjemy tu skromnie. - Umilkła i zajęła się wycieraniem niewidocznej plamy na obrusie. Już miała powiedzieć: „Mężczyźni tacy jak ty...”, ale w porę się zorientowała, że byłby to wątpliwy komplement. Dlatego zapytała po prostu: - Po co tu przyjechałeś?

Wzruszył ramionami.

- Nie szukałem turystycznych atrakcji. Zresztą wkrótce opuścę to miejsce.

- A później dokąd się wybierasz? - zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony, nie spodziewał się bowiem takiego pytania. Domyślał się, że Charlie jest z jakichś powodów zainteresowana jego osobą, ale nie zamierzał jej niczego o sobie opowiadać. Rzucił krótko:

- Wracam tam, skąd przyjechałem.

Zamrugła oczami, a jej podbródek wysunął się do przodu, dzięki czemu upodobniła się do Robbiego.

- A co dokładnie masz na myśli? - Jej fiołkowe oczy nabrały barwy granatu, a spojrzenie stało się ostre.

Denver długo nie odpowiadał.

- Mam mieszkanie - przyznał wreszcie, nagle zawstydzony swoją niezbyt grzeczną małomównością. Lata pracy nauczyły go takiego zachowania. Wrodzona podejrzliwość i nieufność powodowały, że nawet najbliżsi przyjaciele niewiele wiedzieli o jego prywatnym życiu. Ale tym razem chyba przesadził. Ostatecznie cóż złego w tym, jeśli Charlie dowie się o nim kilku nieważnych szczegółów. - Nie bywam w domu zbyt często. Mieszkam w San Francisco.

- San Francisco. - Charlie skinęła głową, a w jej oczach ujrzał tęsknotę. - Urodziłam się tam.

- Naprawdę? - Denver ucieszył się, że tym razem to on będzie zadawał pytania. - A więc co ty tutaj robisz?

Jej twarz rozjaśnił rzewny uśmiech.

- Kocham te góry - wyznała szczerze. Wstała od stołu. - Przygotowałam deser i nie chcę słyszeć żadnego „nie”. Zaraz przyniosę.

Posłusznie został na swoim miejscu. Charlie była równie lakoniczna jak on. Nic dziwnego. Żyła tu pod innym nazwiskiem i najwyraźniej chciała uciec od swojej przeszłości. Ale

od czego uciekała? Może warto to sprawdzić? I jak by zareagowała, gdyby zorientowała się, że Denver ją rozpoznał? Początkowo nie zamierzał się z tym zdradzać, ale teraz wydało mu się to nie w porządku. Czy należy jej powiedzieć? Chyba tak.

Nagle uświadomił sobie, że znów został sam na sam z Robbiem. Wiedział, że powinien się zmusić do rozmowy z chłopcem, jednak badawcze spojrzenie Robbiego bardzo go deprymowało. Gorączkowo szukał tematów, które mogłyby zainteresować dziecko.

- Jak radzisz sobie w szkole? - zapytał.

W oczach chłopca dostrzegł groźne błyski. Gdyby spojrzenie mogło zabić, Denver z pewnością byłby już trupem. No cóż, nie było zbyt wielu tematów do konwersacji z kimś takim jak Robbie. Prawie wszystkie dzieci, które ostatnio poznał, były punkami. To prawda, że były też o wiele starsze od tego chłopca. Robbie miał jeszcze dziecięce sadelko i szczerze spojrzenie, ale i tak było prawie pewne, że wyrośnie na zdziczałego punka.

Mimo to chyba powinien spróbować jeszcze raz.

- Czy lubisz grać w piłkę? Mam na myśli piłkę nożną. Chyba wszyscy chłopcy to lubią.

Chłopiec potrząsnął przecząco głową.

- Bardzo lubię pływać. - Robbie podsunął z nadzieją nowy temat.

- Pływać... - Ostatnio pływał w dżungli, w rozszalałej rzece pełnej pijawek i do dziś jeszcze dziękował Bogu, że udało mu się ująć z życiem. - Nie jestem fanem pływania. - Z zakłopotaniem wpatrywał się w szklanke.

Gdy znów uniósł wzrok, zobaczył rozczarowanie w oczach chłopca. Denver nie rozumiał tej reakcji, ale domyślał się, że dotyczy jego własnej osoby. Nim jednak uporał się z tym problemem, chłopiec zadał następne pytanie:

- Czy ma pan dzieci?
- Nie, nie mam żadnych dzieci.

Robbie zawahał się, a następnie z uporem drażył temat:

- Żadnych? Nawet takich ukrywanych?

Skonsternowany Denver patrzył na Robbiego. Skąd, u diabła, ten smarkacz ma pojęcie o tego typu sprawach?

- Nie, przynajmniej takich, o których bym wiedział. -

Natychmiast się poprawił: - Jestem absolutnie pewien, że nie mam żadnych dzieci.

Robbie znów zamrugał powiekami, a jego dolna warga niebezpiecznie zadrżała. Szybko jednak opanował się, zaś jego policzki nabrały rumieńców.

- A leciał pan kiedyś odrzutowcem? - zapytał, a jego wzrok przygwoździł Denvera do krzesła, tak że ten poczuł się jak więzień KGB, poddawany bezlitosnemu przesłuchaniu.

- Nigdy - odpowiedział krótko.

Chłopiec uśmiechnął się:

- A tatuś Billy'ego leciał. - Mówiąc to, Robbie leciutko się uśmiechnął.

Denver zacisnął zęby.

- Serio?

Znów ten Billy i jego zakichany ojciec. Robbie najwyraźniej uważał Billy'ego za szczęściarza. Dzięki Bogu, rozmowa została przerwana, bo wreszcie pojawiła się Charlie z deserem.

- Placek z wiśniami! - oznajmiła z uśmiechem, a Denver aż jęknął. To było jego ulubione ciasto i nigdy nie potrafił go sobie odmówić.

Z niepokojem zauważył, że Robbie przesunął się ku niemu i próbuje uchwycić jego wzrok. Chcąc nie chcąc, spojrział więc na niego.

- Czy pokonał pan kiedyś wściekłego goryla? - zapytał chłopiec niewinnym głosem.

Denver na chwilę zaniemówił, aż wreszcie, zrezygnowany, odpowiedział:

- Wiem, wiem, ojcu Billy'ego to się udało.
- Oczywiście.

Denver stłumił zniecierpliwienie i zmusił się, by stwierdzić:

- Ojciec Billy'ego musi być niezwykłym facetem.
- Tak, to prawda - powiedział Robbie z przekonaniem.

Denver spojrział na Charlie, lecz ta całą uwagę poświęciła krojeniu placka i nie zamierzała ratować Denvera z opresji. Dał się chłopakowi zapędzić w kozi róg, a zatem pora, by odwrócić sytuację.

- To tatuś Billy'ego opowiadał ci o tych wszystkich czynach? - Denver znacząco uniósł brwi.

Robbie z miną aniołka odparł:

- Nie, tata Billy'ego nigdy o tym nie opowiadał. Nie jest chwalipiętą.

To stwierdzenie ostatecznie dobiło Denvera. Czuł się jak głupiec, który swoimi ciosami przesywa powietrze.

- Oczywiście - odpowiedział łagodnie. - Powinienem się tego domyślić.

Robbie skinął głową, uradowany, że znów jest górą.

- Billy mi to wszystko opowiedział - wyjaśnił łaskawie. Denver utkwiał wzrok w kawałku placka, który podała mu Charlie. Poległ właśnie w starciu z pięcioletnim chłopcem. Powoli docierał do niego cały komizm tej sytuacji. Jego wargi zaczęły drżeć w uśmiechu, spojrział na Robbiego, który również z trudem zachowywał powagę. Byłby to zapewne przełomowy moment, gdyby nie zadzwonił telefon. Robbie zerwał się z krzesła i podbiegł do aparatu.

- Nie przeszkadzaj sobie, młody człowieku - krzyknęła za nim Charlie, gdy, zupełnie ją ignorując, chłopiec szybko podniósł słuchawkę.

- To na pewno Billy - wyjaśniła. - Jutro nie ma szkoły i jego rodzice zabierają Robbiego na pizzę i do kina. Chłopcy są bardzo zaprzyjaźnieni.

- A tatuś Billy'ego jest supermanem - mruknął pod nosem Denver, skwapliwie nakładając sobie kolejny kawałek placka.

- Czy może orientujesz się, gdzie mógłbym zdobyć kryptonit?

- A co to takiego? - spytała Charlie niezbyt przytomnie, ponieważ przysłuchiwała się rozmowie syna.

- Nieważne - mruknął i skupił się na jedzeniu placka.

Robbie odłożył słuchawkę. Matka i syn wdali się w dyskusję, ale Denver, pochłonięty własnymi myślami, puszczał ich słowa mimo uszu.

Patrzył na Charlie i zachwycił się jej urodą. Pochłaniał wzrokiem jej cudowną twarz i ogromne, pełne ciepła oczy. Zawładnęła nim dziwna, nieodgadniona tęsknota. Otrząsnął się. To była pułapka. Jeśli podda się urokowi tej chwili, będzie zgubiony. Zostanie złapany w sidła, a to może go zranić znacznie dotkliwiej niż kula snajpera.

No dobrze, pora opuścić to miejsce. Nie był pewien, czy zdoła wdrapać się do swego domu, ale musiał spróbować. Wziął głęboki oddech, wstał, przeprosił Charlie, że nie pomaga jej w kuchni, i ruszył w kierunku drzwi.

- Czekaj! - zawołała za nim.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił głowy.

- Charlie, naprawdę muszę wrócić do mojej chaty - zaczął z determinacją.

Jednak ona go nie słuchała, ponieważ z dworu dobiegł dźwięk klaksonu. Robbie pomachał dorosłym na pożegnanie i szybko wybiegł z domu. Zostali sami.

- Dziękuję za wspianały obiad - powiedział, zerkając na Charlie i sposobiąc się do szybkiej ucieczki. - Właśnie tego potrzebowalem, by dojść do siebie i...

Charlie skarciła go wzrokiem:

- Nie ma mowy! Nie dasz rady sam wdrapać się na tę górę - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Z irytacją machnął ręką.

- Będę musiał. Jesteś bardzo troskliwa, doceniam to, ale chyba nie masz zamiaru wnieść mnie tam na plecach.

- Nie, nie mam takiego zamiaru. - Charlie uśmiechnęła się, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała mu prosto w twarz.

- Ale z pewnością dam radę zawieźć cię na skuterze.

- Na skuterze!?! - Oczami wyobraźni ujrzał Charlie, pchającą dziecięcy skuter z agentem-kuternogą na siodełku, choć wiedział, że chodziło jej o prawdziwy pojazd.

- To wspianały środek lokomocji - zapewniła go. - Usiądziesz z tyłu i bez trudu dotrzemy na miejsce.

Wykluczone! Nie mógł na to pozwolić. Pod wpływem głębokiego namysłu jego brwi zbiegły się w jedną linię.

- Do mojego domu nie prowadzi żadna droga.

- Ale jest wygodna ścieżka. Poczekaj chwilę.

- Charlie, nie.

Ale nie słuchała go i uśmiechając się z satysfakcją, zniknęła za węgłem. Pojękując, Denver z determinacją ruszył w stronę wyjścia. Nigdy nie da się wsadzić na pojazd dla karzełek.

- Nie ma mowy. Nigdy w życiu.

Skuter, mimo że bardzo mały i obciążony dwojgiem ludzi, okazał się nadzwyczaj rączy i silny. Charlie, z szaleńczym błyskiem w oku, prowadziła jak kierowca rajdowy. Gdyby Denver mógł widzieć wyraz jej twarzy, pewnie dostałby pal-



pitacji serca. Na szczęście musiał skupić się na tym, by obejmując Charlie, nie ścisnąć jej zbyt mocno i nie zabłądzić dłońmi w zakazane rejony.

Nie był to jedyny powód, dlaczego ta jazda była dla Devera drogą przez mękę. Spod przedniego koła nieustannie wystrzeliwał rój kamyków, które dosłownie bombardowały jego chorą i sztywną nogę. Jedwabiste włosy Charlie powiewały na wietrze w dzikim tańcu, omiatając twarz Denvera, a ich słodki i podniecający zapach wdzierał się wprost do jego mózgu. Na jednym z zakrętów omal nie spadł na ziemię. By tego uniknąć, musiał mocniej objąć Charlie. Zarys krągłych, kobiecych bioder niestety znów pobudził jego wyobraźnię. Ujrzał szerokie łóżko, satynowe prześcieradło, przyciemnione światło, usłyszał nastrojową muzykę. Jakby tych tortur było mało, Charlie odwróciła się do niego i Denver pod cienką bluzką zobaczył wyraźnie jej kształtne piersi, ledwie skrywane prześwitującym staniczkiem. Wydał się sobie żaloszny, ale musiał przyznać, że ta chwila była bardzo przyjemna. Spróbował skoncentrować się na zranionym kolanie, ale noga złośliwie odmówiła współpracy, bo ból właśnie ustał.

Do diabła, czyżby libido okazało się świetnym środkiem znieczulającym? pomyślał. Ciekawy temat na referat do czasopisma medycznego. Napisze go później, bo na razie pochłaniały go zupełnie inne sprawy.

- Kretyn - mruknął pod nosem. Z całych sił walczył o to, by zignorować swoje rozbudzone zmysły.

- Co takiego? - zawołała Charlie, a jej włosy musnęły twarz Denvera.

- Nic - odpowiedział szorstko, udając, że męczy go ta podróż, chociaż jego dusza utonęła bez reszty w oceanie pożądania.

- Już niedaleko - uspokoiła go Charlie i gwałtownie dała gazu.

- Świetnie - wycodził. Jeszcze moment, a zacznie wycić w ekstazie. Marzył tylko o tym, by ta piekielna jazda dobiegła już kresu. Chciał w samotności dojść do równowagi ducha.

Właśnie w tym momencie skuter zakrzuszył się i stracił moc. Denver za pomocą hipnotycznych sztuczek usiłował zmusić silnik do dalszej pracy.

- Nie martw się! - krzyknęła Charlie. - Poradzimy sobie.

Wreszcie dojechali. Charlie pomimo gwałtownych protestów Denvera pomogła mu stanąć na nogach. Spojrzała w kierunku gór opromienionych zachodzącym słońcem, a później popatrzyła na chatę.

- Ach, to chyba dom starego McHenry'ego. Demonstracyjnie utykając, Denver zaczął wchodzić po schodach.

- Kim był stary McHenry?

Wydawało się, że Charlie potrafi wybuchać śmiechem z byle powodu. Tak stało się i teraz.

- On nie był stary i nazywał się Carlos McHenry.

- Carlos?

- Aha. - Patrzyła, jak Denver kuśtyka po schodach. - Jego matka była chyba Hiszpanką. Nikt od lat tu nie mieszkał, przynajmniej od jego śmierci. Ciekawe, dlaczego właśnie tę chatę ci wynajęli?

- Prosiłem o coś leżącego na uboczu.

- Ta chata rzeczywiście znajduje się na uboczu. - Charlie spojrzała na dom i powiedziała znacząco: - Mówi się, że właśnie dlatego Carlos tu zamieszkał.

Patrzyli sobie prosto w oczy, gdy Charlie ciągnęła dalej:

- Legenda głosi, że za jego życia działy się tu dziwne rzeczy.

Denver poczuł narastające rozdrażnienie. Postanowił jednak utrzymać swoje nerwy na wodzy i zachowywać się uprzejmie.

- Czyżby? - skomentował jej słowa. - Jakie dziwne rzeczy? Jakież trupy zakopane w piwnicy?

Wzruszyła ramionami.

- Raczej burzliwe afery miłosne.

Spojrzał na nią. Jej włosy falowały na wietrze, a oczy błyszczały prowokująco. Była kobietą zdolną doprowadzić każdego mężczyznę do szaleństwa.

Lecz nie Denvera. Miłość była dobra dla innych, ale nie dla niego. Tego typu uczucie zawsze uważał za oznakę słabości. A on chciał być silny.

- Czy zawsze mówisz wszystko, co ci ślina na język przyniesie? - zapytał, obracając klucz w zamku. Usiłował być szorstki. Prawdziwy mężczyzna nie ulega nawet najpiękniejszej kobiecie. Weźmy na przykład Humphreya Bogarta. Mimo to Denver nie mógł uwolnić się od obrazu romantycznie rozkochanej twarzy Cary Granta.

Charlie puściła mimo uszu tę niegrzeczną uwagę i poszła za nim do ciemnego pokoju. Ze zdziwieniem obserwowała, jak zapalał lampę naftową, która wisiała nad stołem.

- Nie ma tu prądu? - zapytała bezwiednie, choć było to oczywiste. - W tej chacie chyba naprawdę straszy. Czy na pewno chcesz tu zamieszkać?

Podążył za jej wzrokiem i zrozumiał, dlaczego zadała to pytanie. Kanapa miała tylko trzy nogi, rolę stolika do kawy pełnił stary, zmurszały pień, podłoga była popękana i przykryta dziurawymi dywanikami. To obskurne i nieprzyjemne miejsce bardzo się różniło od jej wymuskanego i gościnnego

domu. Ale świetnie pasowało do Denvera, który mieszkał już w dużo gorszych warunkach.

- Podoba mi się tu - powiedział i spojrzał wymownie na drzwi. Najlepiej pozbyć się jej jak najprędzej, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

- Dziękuję ci bardzo, Charlie, naprawdę doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Nic wielkiego - odparła lekceważąco. - Zrobiłabym to samo dla wilka złapanego we wnyki. - Uśmiechnęła się do Denvera, krytycznym okiem wciąż lustrowała wnętrze i najwyraźniej nie zbierała się do wyjścia. - I ten wilk pewnie byłby równie nieznośny jak ty.

- Ale ja przynajmniej nie gryzę - burknął pod nosem i krzywo na nią spojrzał.

- Czyżby? - zapytała słodko.

Znów załapała go fala przemożnego pożądania. Pragnął schwycić Charlie w ramiona i zanurzyć twarz w jej włosach. Zacisnął dłonie w pięści. Nie będzie niewolnikiem zmysłów. Musi pozbyć się tej kobiety, zanim będzie za późno. Szczęście trwa krótko, a potem pozostaje tylko gorycz.

- Powinnaś już pójść. Jestem bardzo zmęczony i naprawdę chcę odpocząć. - Głos Denvera brzmiał szorstko, niemal niegrzecznie.

Charlie nagle spoważniała. Naprawdę niepokoiła się stanem jego zdrowia.

- Czy na pewno sam sobie poradzisz? Twoja noga nie jest w najlepszym stanie. Znam się na tym. Naprawdę powinieneś pójść do lekarza. Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

- Po prostu wyjdź. - Denver odsunął się od niej, unikając wszelkiego fizycznego kontaktu. - Sam o siebie potrafię za- dbać. Nic mi nie jest.

Charlie ujęła się pod boki.

- Nie powinnam zostawiać cię samego, ale naprawdę muszę już iść. I tak się spóźnię do pracy.

Denver marzył o tym, by wreszcie usiąść na krześle, lecz nie chciał, by Charlie zobaczyła, z jakim trudem mu to przychodzi.

- No to idź. Nie potrzebuję niańki.

Zawahała się:

- Ale twoje kolano...

Denver był już wyraźnie zniecierpliwiony.

- Posłuchaj, bywałem w gorszych opalach. Kiedyś musiałem sobie wydłubać scyzorykiem kulę z kości udowej. W porównaniu z tym moja dzisiejsza przyгода to kaszka z mlekiem.

Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- To straszne! Gdzie to było i co ty tam robiłeś?

- Wyjmowałem kulę. - Po namyśle jednak dorzucił: - To długa historia i nie będę cię zanudzał szczegółami. Chodzi o to, że umiem sobie poradzić w każdej sytuacji.

Charlie nie uwierzyła mu. Wyglądała jak matka, której dziecko oznajmiło, że nie poszło do szkoły, ponieważ spotkało Marsjan.

- Zmyślasz. Po prostu chcesz się mnie pozbyć.

Spojrzał na nią. Znowu wyglądała jak tamta dziewczyna sprzed lat, wyniosła i zimna. Świetnie, a więc jednak niezupełnie się zmieniła. Nie będzie mu żal, gdy wreszcie sobie pójdzie.

- Masz rację. Zmyśliłem to. A teraz naprawdę już idź.

Charlie zacisnęła usta.

- Czy jesteś pewien...

Demonstracyjnie otworzył drzwi na oścież.

- Nie potrzebuję cię, rozumiesz? - powiedział wprost.

Czasami trzeba być okrutnym, by kogoś nie skrzywdzić.

- Przeszkadzasz mi. Niczego więcej od ciebie nie chcę.

- Nie potrzebujesz mnie, tak? - Charlie buńczucznie uniosła głowę. - A więc oddaj mi moją pieczęć, a przede wszystkim placek.

Denver na chwilę oniemiał, a później z ledwie skrywaną agresją wysyczał:

- Natychmiast stąd wyjdź!

Długo mierzyli się wzrokiem, a Denver wstrzymał oddech. Gdyby wykonała jakikolwiek gest w jego kierunku, zapewne tym razem nie zapanowałby nad skrywanymi pragnieniami. Ale Charlie odwróciła się w stronę drzwi.

- Już idę, już idę - powiedziała.

W progu pomachała mu na pożegnanie. Z rozbawieniem zauważyła, że Denver niezwykle starannie zamyka za nią drzwi.

- Ale jeszcze tu wrócę - mruknęła pod nosem, wsiadając na skuter. - Szanowny panie Smith, nie pozbędzie się mnie pan tak łatwo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Charlie spóźniła się do pracy, ale na szczęście, właściciele restauracji traktowali ją jak członka własnej rodziny/Zaczęła przepraszać, nim jeszcze zsiadła ze skutera, lecz Ernie, jej szef, jak zwykle tylko machnął ręką.

- Wiem, że kobiety mają zawsze mnóstwo spraw na głowie - powiedział dobrodusznie. - A jak zaczną plotkować, to czas płynie i płynie. Nie musisz mi niczego tłumaczyć, mam przecież żonę, prawda?

Charlie obrzuciła go groźnym spojrzeniem i nazwała męskim szowinistą. Roześmiał się tylko i znów machnął ręką. Byli w świetnych stosunkach. Ernie i jego żona bardzo pomogli Charlie w trudnych chwilach.

- A gdzie jest nasz chłopczyk? - zapytał, rozglądając się wokół. Charlie zwykle zabierała syna do pracy. Robbie i Ernie byli wielkimi przyjaciółmi. Witając się, udawali dwa walczące niedźwiedzie, odpowiednio przy tym porykując i posapując. - Zgubiłaś go po drodze?

Charlie roześmiała się. Jej szef był wysokim i potężnie zbudowanym półkrwi Hawajczykiem. Uwielbiał się śmiać, ale przy oglądaniu smutnych filmów zalewał się rzewnymi łzami. Gdy wypił trochę za dużo, zdejmował ze ściany ukulele i śpiewał stare hawajskie ballady. On i jego żona byli najlepszymi przyjaciółmi Charlie.

Nigdy nie zapomni, gdy po raz pierwszy weszła do ich restauracji. Przemarznięta i załamana, w ciąży z Robbiem,

niepewna, co ma z sobą dalej zrobić, u kresu sił. Nerwowo przeliczała ostatnie grosze, mając nadzieję, że stać ją jeszcze na hamburgera. Do jej stolika podszedł Ernie i na pierwszy rzut oka prawidłowo ocenił sytuację.

- Co chcesz zamówić? - zapytał z serdecznym uśmiechem.

Odgarnęła przemoczone włosy.

- Może kanapkę z tuńczykiem - odpowiedziała, starając się uchwycić dziesięciocentówkę, która staczała się ze stolika.

- Eee tam - prychnął Ernie. - Wyglądasz mi na kogoś, kto potrzebuje solidnego posiłku. Zaraz podam burgera i frytki.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Ale nie wiem, czy starczy mi...

- Zapomnij o pieniądzach. - Szybkim ruchem wepchnął jej drobniaki z powrotem do ręki. - Dziś sprawdzam nowy przepis i potrzebuję kogoś do degustacji. Możesz mi pomóc.

Przyniósł jej olbrzymiego burgera z frytkami i surówką oraz szklanek mleka. Później przyprowadził Michiko, bardzo ładną, drobną kobietę, która była jego żoną, i przedstawił je sobie. W ten sposób Charlie znalazła przyjaciół, na których mogła liczyć w każdej sytuacji. Zaczęła u nich pracować następnego dnia i spała na ich kanapie, dopóki nie zaoszczędziła na wynajem własnego domu. Bardzo jej pomogli, gdy urodziła Robbiego. Pozwolili, by przywoziła ze sobą synka do pracy.

Nie tylko pozwolili, lecz wręcz domagali się tego. Nie szczędzili małemu „ochów” i „achów”, co było balsamem na jej samotne matczyne serce. To był naprawdę szczęśliwy dzień, gdy weszła do restauracji „Pali” i zdobyła tak wspianiałych przyjaciół. Na myśl o ich dobroci jej oczy często zachodziły mgłą.



- Robbiego nie ma dzisiaj ze mną - wyjaśniała Erniemu, - bo poszedł z Howellami do kina i na pizzę. Zostaje u nich na noc.

- A co ze szkołą? - zapytał Emie, jak zawsze czujny w sprawach, które dotyczyły jej syna.

- Jutro dzieci mają wolne. Będzie posiedzenie rady pedagogicznej. - Popatrzyła na niego i powiedziała: - Ernie, będę sama, co ja pocznę z czasem?

- Zatem wykorzystaj szansę! - powiedział z naciskiem.

- Umów się na romantyczną randkę z tym facetem, który kręci się wokół ciebie już od miesiąca. Aż go skręca, kiedy na ciebie patrzy.

Charlie posłała mu przerażone spojrzenie.

- Masz na myśli Nigela? Tego, który codziennie zamawia jedną kawę i sączy ją przez dwie godziny, by móc się na mnie pogapić? - Potrząsnęła przecząco głową. - Chyba nic z tego, Emie. Już raz byłam mężatką i wystarczy. - Spojrzała na szefa z błyskiem w oku. - Wolę dobrą książkę niż nudnego faceta.

Odwróciła się w stronę restauracji, a Ernie zawołał za nią:

- Dobra książka jest na pewno lepsza od nudnego mężczyzny, skarbie. Ale jeśli trafisz na tego jedyne, pójdziesz za nim na kraj świata.

- Pewnie - mruknęła Charlie, nie odwracając głowy. - Możesz się ze mną założyć, że jeśli pójdę na kraj świata, to na pewno sama.

Jeszcze w restauracji słyszała gromki śmiech szefa. Rozpierała ją radość i energia. Była pewna, że nie spowodowała tego przygoda z Denverem Smithem. To sprawa definitywnie skończona. Było dużą frajdą gościć pod swoim dachem takiego oryginała, nakarmić go i poniańczyć.

I nie ma co ukrywać, pożądanie, które ujrzała w jego

oczach, mile ją polechtało. Nigdy nie była flirtiarą, ale zawsze wyczuwała, gdy jakiś mężczyzna jej pragnął. Zapewne szczęśliwie się dla nich obojga złożyło, że Denver potrafił trzymać swoje zmysły na wodzy i nie próbował skorzystać z łatwej okazji. Szanowała mężczyzn z tak silną wolą, bo należeli do rzadkości.

Po przemyśleniu całej sprawy doszła jednak do wniosku, że Denver był jednodniową atrakcją i tyle. Ułożyła sobie życie w tych górach i było jej tu dobrze. Zamknęła siebie i Robbiego w magicznym kręgu, w którym byli bezpieczni. Nie chciała zmian, nie mogła pozwolić, by sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Ciężko pracowała, by stworzyć Robbiemu prawdziwy dom, i nie pozwoli, by ktokolwiek zniszczył ten dorobek.

Czuła prawdziwą awersję do trwałych związków z mężczyznami. Wystarczy, że była żoną Jeffa van Grote. To ją wiele nauczyło. Narodziny miłości i ślub były fantastyczne.

Ale noc poślubna była koszmarem, nie mającym nic wspólnego z romantycznymi marzeniami. Samczy egoizm Jeffa był przerażający. Charlie oczekiwała wspaniałego, czulego kochanka, ale mąż potraktował ją jak bezduszne źródło rozkoszy.

Natomiast popołudnie z Denverem dostarczyło jej kilku miłych wrażeń i tylko na to mogła sobie pozwolić. Ma ważniejsze sprawy na głowie. Musi dobrze wychować Robbiego i mądrze pokierować swoim losem.

W restauracji zobaczyła Michiko obsługującą młodą parę i pomachała do przyjaciółki. Lokal był prawie pusty. Zapowiadał się nudny wieczór.

Nałożyła fartuszek i zaczęła napełniać solniczki. Michiko podeszła do niej.

- Dwie porcje saimin, Charlie. - Wyrzała przez okno.
- Dziś jest chłodno, więc wszyscy zamawiają to samo.

Charlie powiedziała ze śmiechem:

- Bo ten wspaniały aromat unosi się w całej restauracji. Saimin było popisowym daniem Michiko. Pyszny wywar z cieniutkimi kluseczkami i kawałkami pieczonej wieprzowiny.

Charlie obsłużyła zakochanych i porozmawiała z nimi chwilę. Wszyscy w okolicy dobrze się znali i klienci traktowani byli jak przyjaciele. Charlie uśmiechała się przez cały czas i nadal była w świetnym nastroju. Schludne i miłe wnętrze restauracji dawało jej poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

- Tak się cieszę, że uciekłam i wylądowałam właśnie tutaj - mruknęła do siebie.

Przez wahadłowe drzwi do restauracji weszła nowa klientka. Charlie podniosła głowę i pozdrowiła Goldie, starszą, ekscentryczną kobietę, która mieszkała wysoko w górach. Kilka razy w roku schodziła do doliny, by uzupełnić zapasy.

- Czy załatwiłaś już wszystko w mieście? - zapytała Charlie, prowadząc Goldie do jej ulubionego stolika.

Kobieta sięgała Charlie do ramion. Jej długie, siwe włosy zaplecione były w warkocz i misternie upięte w koronę.

- Nie, to była specjalna okazja. Wyjeżdżałam z miasta, a teraz wracam do siebie. Ale nie mogłam sobie odmówić waszej wspaniałej zupy.

- Oczywiście, zaraz ją przyniosę.

Goldie zawsze wzruszała Charlie i wzbudzała w niej opiekuńcze instynkty. Na początku dziwiło ją, że tak niezwykła i dystygowana kobieta wybrała prymitywne życie na odludziu.

- Złamane serce - wyjaśniła jej Michiko. - Mąż opuścił ją przed laty i uciekła w góry, by leczyć rany.

Charlie do pewnego stopnia była w stanie to zrozumieć.

- Co ona tam robi w tej głuszy? - pytała dalej Charlie.

- Jest zapalonym naukowcem, jak Jane Goodall, ta od szympanśów. Goldie bada życie dzikich zwierząt.

- Jakich zwierząt?

- Nie wiem dokładnie, chyba chodzi o wiewiórki albo o szczury, może o jakieś inne gryzonie. Pewnego dnia napisze książkę albo wystąpi w telewizji i wreszcie ktoś z naszych znajomych stanie się sławny.

Wszyscy w dolinie czekali na ten moment, na razie jednak na próżno. Charlie miała przeczucie, że los nigdy nie uśmiechnie się do Goldie. Ona sama jednak wyglądała na szczęśliwą i tylko to miało znaczenie.

- Wyjeżdżałaś? - zapytała ją, wskazując ogromną walizę.

- Byłam w San Diego. Pojechałam do mojego syna. Musiałam podpisać pewne dokumenty.

Charlie zdumiała się:

- Ty masz syna? Nie sądziłam, że...

- O tak, był mniej więcej w wieku Robbiego, gdy przyjechaliśmy w te góry. To wspaniałe miejsce na wychowywanie dzieci.

Charlie skinęła głową, zadowolona, że obie mają ze sobą coś wspólnego.

- Pewnie, założę się, że twój syn wyrósł na wspaniałego mężczyznę. Bardzo chciałabym go poznać. Kiedy ostatni raz był u ciebie z wizytą?

Twarz Goldie zmieniła się. Opuściła głowę i zaczęła nerwowo skubać serwetkę.

- Och, on nie ma na to czasu, jest zbyt zajęty. Pracuje jako dyrektor w wielkiej firmie i dużo podróżuje.

Jej głos się załamał i Charlie z zakłopotaniem odwróciła głowę.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, a potem Charlie zajęła się nakrywaniem stołów. Ale to, co jej powiedziała Goldie, a szczególnie to, co przemilczała, bardzo ją poruszyło. A więc ta kobieta również samotnie w tych górach wychowała dziecko, a teraz żyła jak pustelnica. Syn nigdy jej nie odwiedzał.

W tym scenariuszu było coś niewypowiedziane smutnego i deprymującego. Charlie, chcąc nie chcąc, nie mogła się opędzić od niewesołych skojarzeń. Gdy wrzucała napiwek do specjalnej puszki, nagle stanęła oko w oko ze swoim zdjęciem. Było starannie wyeksponowane na bocznej ścianie kasy.

Czas zatrzymał się, a Charlie miała wrażenie, jakby zapadała się w przepaść. Była zupełnie sama, a wokół rozpościerała się bezkresna pustka. Musi się dowiedzieć, o co tu chodzi, i być gotowa na wszystko.

Przede wszystkim powinna się uspokoić. Jeszcze raz przyjrzała się swojej fotografii. Zdjęcie zostało zrobione, gdy Charlie była w ostatniej klasie szkoły średniej. Ubrana była w różowy, kaszmirowy sweterek i uśmiechała się z przymusem. Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęła w stronę kasy. Ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, usłyszała za sobą głos Michiko:

- A, widzę że przyglądasz się zdjęciu. Zostawił je tutaj jakiś facet. Przypatrz się uważnie, a może coś ci wpadnie do głowy.

Charlie poczuła się tak, jakby jej usta były pełne waty. Gdyby nawet chciała, nie byłaby w stanie powiedzieć ani słowa. Kto mógł umieścić tutaj to zdjęcie?

Znała odpowiedź na to pytanie. Znów zaczęła oddychać

normalnie. Wpatrywała się w fotografię, jakby chciała ją spalić wzrokiem. Wprawdzie nie była na zdjęciu zbyt podobna do siebie, ale na pewno wszyscy ją rozpoznali. Zaczęła zastanawiać się, co powinna teraz zrobić.

Michiko zajrzała jej przez ramię.

- Dziwne, ale ta dziewczyna na zdjęciu nie wygląda na zbyt szczęśliwą.

Charlie głośno przełknęła ślinę, lecz nadal nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Unikała też wzroku Michiko, ale jej przyjaciółka zdawała się tego nie zauważać.

- Ten mężczyzna, który jej szukał, powiedział, że zdjęcie było zrobione mniej więcej dziesięć lat temu i że teraz ta dziewczyna może wyglądać inaczej. Co o tym sądzisz?

Michiko przechyliła głowę i przyjrzała się zdjęciu, a Charlie czekała, niemal nie oddychając. Jak jej przyjaciółka mogła jej nie poznać? Przecież tę dziewczynę z fotografią miała dosłownie przed samym nosem. Oczy na zdjęciu były smutne, ale to były przecież jej oczy. Jak można tego nie zauważyć?

- Powiedziałam mu, że nie znam nikogo takiego, ale on na wszelki wypadek zostawił to zdjęcie i numer telefonu.

- Nigdy nic nie wiadomo - szepnęła do siebie Charlie, wciąż zdumiona tym, że Michiko jej nie rozpoznała. Nie czuła się jednak bezpiecznie, bo ktoś inny mógł okazać się bardziej spostrzegawczy. Opanowała lęk i wróciła do pracy, wciąż intensywnie myśląc o całej sprawie. Nie po raz pierwszy poszukujące jej osoby deptały Charlie po piętach. Był na jej temat nawet reportaż w telewizji, ale nikt w okolicy go nie oglądał, z wyjątkiem Michiko i Erniego. Ale oni też nie poświęcili mu zbyt wiele uwagi. Później, gdy Robbie był już na świecie, wybrała się z nimi na zakupy do Sacramento i w supermarkecie zobaczyła plakat ze swoją podobizną. Za-

dzwoniła od razu do matki, ale jej lokaj Griggs powiedział, że pani jest na jakimś spotkaniu, więc Charlie zostawiła wiadomość: „Mamo, u mnie wszystko w porządku, przestań mnie szukać, bo i tak nie wrócę”.

Uciekła pod wpływem impulsu, niczego uprzednio nie planując. Spakowała kilka rzeczy i wsiadła do pierwszego pociągu. Później jechała autobusem i autostopem. Kierowca ciężarówki podrzucił ją do tej doliny. Nie sądziła, że ucieczka jej się powiedzie. Zrobiła to, co uważała za konieczne. A później zdecydowała, że zostanie w tych górach, dopóki jej nie odnajdą.

I wreszcie przyzwyczała się do życia w tej okolicy. Teraz okazało się, że jest w niebezpieczeństwie i musi coś wymyślić.

Spokojnie! Jej matka wynajęła kogoś, by ją odnalazł. Ta osoba przyjechała do miasta i rozdawała fotografie. Ktoś wreszcie może ją rozpoznać. Miała tylko jedną szansę. Musiała się gdzieś ukryć, dopóki sytuacja się nie unormuje. Ale teraz jej ucieczka byłaby dużo trudniejsza, bo na świecie był Robbie.

- Charlie, jesteś tu?

Ernie wszedł do kuchni, a na twarzy Charlie zamarł uśmiech, zobaczyła bowiem, że Ernie trzyma w ręku to feralne zdjęcie. Podążył za jej wzrokiem i pomachał fotografią.

- Mam wrażenie, że ta dziewczyna ze zdjęcia kogoś mi przypomina. Facet, który to zostawił, wyglądał na przejętego swoją misją i chciałbym mu pomóc. - Spojrzał na Charlie i mówił dalej. - Nie wiem, kim ona jest, ale ludzie, którzy jej szukają, muszą za nią bardzo tęsknić. Mam nadzieję, że chociaż do nich zadzwoniła.

Ernie powiedział to w taki sposób, że Charlie mimowolnie posłała mu ostre spojrzenie, lecz, jego twarz pozostała spo-

kojna i uśmiechnięta. Charlie przygryzła wargi, nie wiedząc, co odpowiedzieć, nagle jednak doznała olśnienia. Był to szalony i niebezpieczny pomysł, mający nikłe szanse powodzenia, ale warto było spróbować.

Nie miała wyboru. Nie powinna się oglądać za siebie, lecz konsekwentnie budować swoją przyszłość. Nie miała czasu, by pomyśleć o wszystkich komplikacjach, niektóre sprawy pewnie same się ułożą. Usłyszała swoje słowa, zanim nabrała pewności, co chce naprawdę powiedzieć:

- Szczerze mówiąc, mnie już dzisiaj ktoś odnalazł. - Przełknęła ślinę i spróbowała się uśmiechnąć. - Pojawił się... mój mąż. Po tylu latach.

Ernie gapił się na nią, zapomniawszy o zdjęciu, które trzymał w ręku.

- Czy to ojciec Robbiego?

Skinęła głową, zastanawiając się, co powiedziała by Denver, gdyby ją teraz usłyszał. Chyba nietrudno to sobie wyobrazić.

- Tak. Wynajął tu chatę i niespodziewanie mnie odwiedził. Nie mam pojęcia...

Głos ją zawiódł, a usta zaczęły niebezpiecznie drżeć. Powinna się bardziej kontrolować.

- Coś takiego! Twój mąż jest tutaj. - Mina Erniego dobitnie świadczyła o tym, że nie jest pewien, czy uznać to za dobrą nowinę. - Sądziłem, że między wami wszystko skończone.

- Też tak uważałam.

Ernie umilkł i zamyślił się, a Charlie wiedziała, że przypomina sobie wszystkie opowieści o jej mężu. Nie powinno być tego dużo, bo niewiele na ten temat mówiła. Nigdy nie była też pewna, ile powinna opowiedzieć Robbiemu, a później, wraz z upływem czasu, wszyscy stracili zainteresowanie



dla jej przeszłości. Ciekawskich zbywała ogólnikami i tylko Robbiemu uchylła rąbka tajemnicy.

- Nie jestem pewna, co z tego wyjdzie i jak długo on tutaj zostanie. I jeszcze jedna sprawa - dodała szybko. - Proszę, nie wtajemniczaj Robbiego. On nic nie wie, a ja nie mogę go mamicić zwodnymi obietnicami. Chcę mu zaoszczędzić ewentualnych rozczarowań.

Na dobrodusznej twarzy Erniego pojawił się wyraz zakłopotania.

- Chcesz powiedzieć, że jest jakaś szansa, że wy dwoje znów będziecie razem?

Skinęła głową, wiedząc, że brnie coraz dalej i że okłamuje jednego ze swych najlepszych przyjaciół. Ale czy miała inne wyjście?

- Nigdy nic nie wiadomo - odpowiedziała cicho, unikając spojrzenia Erniego, a oczyma wyobraźni zobaczyła twarz Denvera w chwili wtajemniczenia go w swój plan. - Zdarzają się jeszcze dziwniejsze rzeczy.

Ernie podrapał się po głowie.

- To cudownie, Charlie - powiedział z przekonaniem. - Bardzo się cieszę.

Charlie była zdumiona tym, że kłamstwa przychodzą jej tak łatwo. Ernie i Michiko byli ludźmi, których nigdy dotąd nie oszukała, nie licząc drobnej nieścisłości dotyczącej jej imienia i nazwiska.

- Wiesz co - Ernie przyjrzał się jej uważnie. - Tak sobie pomyślałem, że skoro nigdy nigdzie nie wyjeżdżasz, weź kilka dni urlopu i wybierz się gdzieś ze swoim mężem. Ja i Michi zaopiekujemy się chłopcem. Potrzebujesz pewnie trochę czasu, by znów przyzwycząić się do tego człowieka.

Wzruszona Charlie objęła Erniego.

- Ernie, tak bardzo cię kocham - powiedziała ze łzami w oczach.

Po kilku minutach wróciła do pracy, automatycznie wykonując wszystkie czynności. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

Co ona narobiła? To czyste szaleństwo! Ale cóż innego jej pozostawało? Nigdy nie wróci do matki. I tak zbyt wiele lat żyła pod jej dominującym wpływem. W obecności tej kobiety zawsze traciła wolną wolę. Dobrze się stało, że wymyśliła tę historyjkę. Przedstawiając siebie jako zamężną kobietę, postawiła się w innej sytuacji. Nawet gdy ktoś ją skojarzy z nastolatką ze zdjęcia, będzie łatwiej wszystko zrzucić na zwykły zbieg okoliczności. Nikt nie będzie niczego podejrzewał. Może uda się zostać w dolinie, którą tak pokochał jej syn.

Jest tylko jeden problem... Co na to wszystko powie Denver?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Denver podśpiewywał. Robił to niezbyt często i, szczęśliwie dla innych, tylko w samotności. Lecz dzisiaj słowa piosenki same mu się cisnęły na usta. Śpiewał głośno i z zapałem, napawając się swoim, w istocie dość przerażającym, głosem.

Gdy Charlie wyszła, przez chwilę wypoczywał i rozkoszował się z trudem wywalczoną samotnością. Lecz już po chwili zaczął się nudzić. Nie miał ochoty czytać, sen nie przychodził, nie mógł się skoncentrować na niczym sensownym. Odniósł jednak mały sukces: udało mu się, chociaż na krótko, nie myśleć o Charlie. No cóż, i tak już nigdy się nie spotkają...

Trudno powiedzieć, do czego mogło między nimi dojść. Ż pewnością zbaczali w niebezpieczne rejony.

- Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko ta kobieta będzie trzymała się ode mnie z daleka - mruknął i skrzywił się, poczuwszy nagły, świdrujący ból w nodze.

Pokuśtykał do kuchni, ale nigdzie nie mógł znaleźć żadnych środków przeciwbólowych, nawet aspiryny. Znalazł natomiast dużą butelkę szkockiej. Zawahał się. Obecnie nie pijał zbyt wiele, ale noga naprawdę mu dokuczała, a alkohol na pewno przyniesie ulgę.

A właściwie dlaczego nie? I tak nie ma dzisiaj zamiaru prowadzić samochodu ani z nikim się spotykać. Dlaczego miałby sobie odmawiać kilku drinków? Cóż w tym złego?

Usiadł ze szklanką i otwartą butelką. Delektował się pierwszym łykiem trunku, czując, jak łagodną strugą spływa mu do gardła. Czego jeszcze mogło brakować mu do szczęścia?

Może tylko kobiety.

Zaklął pod nosem. Znow to zrobił, znow pomyślał o Charlie.

Wtargnęła w te sfery jego duszy, które niegdyś zamknął na cztery spusty. Musiał jednak przyznać, że ostatnio coraz częściej nawiedzała go myśl, by zrezygnować z samotniczego życia.

Dawno temu uznał, że kobiety nie są warte zachodu. Słyszał wprawdzie, że zdarzają się chlubne wyjątki. Spotkał nawet jakoby szczęśliwe małżeństwa. Z własnego doświadczenia wiedział jednak, jak trudno jest obdarzać się wzajemnie szczęściem. Trudy codziennego życia potrafią zniszczyć najpiękniejszą miłość.

Jego rodzice kłócili się każdego wieczoru, a gdy zginęli w wypadku, odczuł niemal ulgę, że nigdy już nie będzie świadkiem ich małżeńskich potyczek. Miał wtedy niespełna dziewiętnaście lat i musiał się zatroszczyć o swoją trzynastoletnią siostrę. Pracował na dwóch posadach, by związać koniec z końcem. Jednak udało mu się zakwalifikować do specjalnego rządowego programu. Został tajnym agentem. Pragnął dla Gail lepszego życia. On nigdy nie miał szans, by skończyć studia, ale przysiągł sobie, że siostra tego dokona. Podejmował się najbardziej niebezpiecznych i najlepiej płatnych zajęć, by móc kształcić ją w najdroższych szkołach.

W dniu jej promocji był najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Warto było tak harować i narażać życie. Jego siostra wyrosła na elegancką i wykształconą damę, która mogła obracać się w najlepszym towarzystwie. Był z niej taki dumny. Niestety, Gail odrzuciła ofiarowaną jej szansę i wybrała własny styl życia. Straszliwie się pokłócili i zerwali wszelkie

stosunki. Do dzisiaj nie potrafił się z tym pogodzić. Na myśl o siostrze odczuwał dręczący, niemal fizyczny ból.

Również w życiu osobistym poniósł sromotną klęskę. Praca w agencji pochłaniała go tak bardzo, że nie miał czasu na inne sprawy. Umawiał się z wieloma kobietami, ale z żadną z nich nie związał się na dłużej. Nie były to zresztą osoby, które chciałyby przedstawić swojej siostrze. A później poznał Mary.

Wydawało mu się, że jest naprawdę zakochany. Teraz już wiedział, że był po prostu młody i naiwny. Mary była piękna. Miała czarne, jedwabiste włosy i wielkie, niebieskie oczy. Pracowała jako sekretarka w centrali. Gdy tylko ją ujrzał, poczuł się jak uderzony obuchem. Nie ośmielił się jej zaczepić, bał się bowiem, że głos odmówi mu posłuszeństwa. Lecz Mary zawsze witała go miłym uśmiechem.

Aż pewnego dnia zdarzył się cud. Denver siedział samotnie w hotelowym pokoju, niespiesznie przeżuając zimną kolację. Nagle w drzwiach stanęła Mary. Wpadła tylko na chwilę, by się z nim pożegnać, ale została na znacznie, znacznie dłużej...

Spotykali się zawsze, gdy Denver przyjeżdżał do Waszyngtonu. Żył w nierealnym świecie i zachowywał się jak głupiec. Był pewien, że Mary jest tą jedyną. Marzył, że zostanie matką jego dzieci. Kupił już nawet pierścionek. Miał go przy sobie tej nocy, gdy odwiedził ją bez zapowiedzi. Była z innym mężczyzną. W szaleńczym odruchu chciał zabić swego rywala, lecz później błogosławił niebiosy, że zdołał się przed tym powstrzymać. Bo cóż ten facet był winien? Zresztą, trudno było oskarżać również Mary. Przez te wszystkie lata przekonał się, że kobiety już takie się rodzą. Nie można na nich polegać, nie wolno im ufać. Czyż można wymagać od skorpiony, by przestał żądlić? Ale mężczyźni też nie są lepsi.

Należy ufać tylko sobie, wtedy człowiek jest bezpieczny. Jeżeli chcesz uniknąć rozczarowań, licz tylko na siebie. Nie odkrywaj się przed ludźmi, nie podawaj im na tacy swojego serca. Bo inaczej rozszarpią cię na strzępy.

A teraz spotkał Charlie. Niegdyś była dla niego ucieleśnieniem wszelkich marzeń. Dawno temu widział ją tylko raz i przez chwilę, lecz zapamiętał na zawsze. Wyglądała wspaniale, poruszała się z kocim wdziękiem i niespotykaną elegancją. Doszedł wtedy do wniosku, że jest snobką, ale zaakceptował to. Uznał, że miała prawo taką być, o ile to nie raniło uczuć Gail. Poza tym pochodziła z arystokratycznej rodziny i tym tłumaczył sobie jej wyniosłość.

A teraz mieszkała w tej zabitej deskami dziurze, w otoczeniu rybaków i drwali. Nosila džinsy i pracowała w restauracji jak zwykła dziewczyna. Czy od początku mylił się co do niej? A może zaszyła się tutaj z jakichś niejasnych powodów?

Wzruszył ramionami i nalał sobie następnego drinka. Co go to w gruncie rzeczy obchodzi? Nie miał zamiaru zaprzętać sobie głowy cudzymi problemami. Ale wciąż widział jej twarz i dobrze wiedział, że jej ciało było jak ogień, wokół którego nie wolno krążyć zbyt blisko. Tak czy siak, Denver nie będzie żadną cholerną ćmą. W miarę ubywania whisky umacniał się w swym postanowieniu. Będzie trzymał się z dala od wszystkich kobiet, a zwłaszcza od Charlie. Wszystkie baby to modliszki.

Na poczekaniu wymyślił na ten temat zgrabną piosenkę. Zanim zdał sobie z tego sprawę, już ją śpiewał. Rozpoczął się upiorny, nocny koncert.

Charlie podjechała skuterem pod dom starego McHenry'ego. W „Pali” nie było dzisiaj ruchu, dlatego wyszła

wcześniej. Na szczęście mężczyzna, który jej szukał, już się więcej nie pokazał. Ernie ponownie zaproponował jej kilka dni urlopu. A teraz jechała do Denvera, by oznajmić mu, że będzie musiał zagrać rolę jej męża. Nie miała zielonego pojęcia, jak przekazać mu tę szokującą propozycję.

- Słuchaj, Denver, czy mógłbyś na kilka dni zostać moim dawno utraconym mężem? Będę ci wdzięczna do grobowej deski.

Nie, nie tak, to chyba jednak nie zadziała. Musi wymyślić coś innego, przekonać Denvera, jakie to dla niej ważne. Nie zamierzała jednak wtajemniczać go we wszystkie szczegóły.

Wyłączyła silnik i oparła pojazd o ścianę. Zdziwiło ją, że hałas nie wywabił Denvera z chaty. No cóż, na pewno nie ucieszy się zbytnio na jej widok. Bardziej prawdopodobne, że zacznie się od niej opędzać jak od natrętnej muchy. Jednak Denver wciąż się nie pojawiał.

Nagle z chaty dobiegły ją jakieś niesamowite dźwięki. Po kilku sekundach zrozumiała, że to był śpiew.

- Denver? - zapytała, z trudem hamując śmiech.

Podeszła na palcach do okna i zajrzała. Jasne, był tam, rozparty na kanapie, wniebowzięty i porykujący. Śpiewał pieśń o dawno poległych bohaterach, zawadiacko wymachując szklanką. Zaraz pewnie roztrzaska ją o kominek. Jeszcze trochę, a po jego policzku spłynie samotna, męska łza.

Patrzyła na niego w osłupieniu, a później dostrzegła butelkę. To wszystko wyjaśniało. Nie zastukawszy do drzwi, weszła do środka.

Nawet tego nie zauważył. Ale właśnie skończył swoją porażającą pieśń i otworzył oczy. Wtedy dopiero zobaczył Charlie. Stała ze skrzyżowanymi ramionami.

Skrzywił się.

- O, nie! To znówu ty?

- Tak, to ja.

Gestem wskazał jej drzwi, a jego oczy zamglone były nie tylko whisky.

- Przestań mi matkować - powiedział z charakterystyczną dla pijaków artykulacją. - Nie potrzebuję żadnej pomocy. Daj mi spokój. - Machnął ręką, rozlewając zawartość szklanki na kanapę. - Idź sobie.

Charlie ujęła się pod boki i spojrzała na niego z politowaniem. Jak rozmawiać z pijanym facetem? Niedobrze. A miała przecież sprawę do załatwienia.

- Uspokój się - powiedziała stanowczo. - Nie przyszedł ci matkować.

Próbował się roześmiać.

- Uwolnij mnie od siebie. Chyba cierpisz na kompleks samarytanki. Uważasz się za anioła miłosierdzia...

Nie był zbyt daleki od prawdy, ale Charlie szybko odrzuciła tę myśl.

- Nie - zareagowała natychmiast. - Zapewniam cię, że tym razem przyszedł tu z czysto egoistycznych pobudek.

Denver zamrugał kilkakrotnie powiekami i widać było, że jej szczerość zrobiła na nim wrażenie.

- Naprawdę?

Skinęła głową z wyrazem determinacji na twarzy.

- Przyszedł tu nie dla ciebie, ale wyłącznie dla siebie.

- Och - mruknął skonsternowany. Nie był pewien, co ma o tym sądzić. Wzruszył ramionami. - A zatem wszystko w porządku.

Przygryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem, obawiała się bowiem, że rozdrażni to Denvera. Usiadła obok niego na kanapie i przyjrzała mu się. Jego twarz domagała się brzytwy, miał fantazyjnie zmierzwione włosy i wydawał się bardziej



rozluźniony. Ujęło to ją, dużo bardziej się jej podobał teraz, niż gdy był trzeźwym sztywniakiem.

- Co masz przeciwko temu, by ktoś się tobą opiekował?  
- zapytała, by rozpocząć rozmowę i oddalić moment, w którym będzie musiała przejść do sedna sprawy.

Było to fatalne zagajenie, bo Denver natychmiast się nastroszył.

- Nie potrzebuję, by ktoś mnie niańczył - powiedział krótko, patrząc na nią ponuro. - Sam daję sobie radę.

Wiedziała, że to był zły moment, by prosić Denvera o pomoc, ale nie miała wyboru.

- Ach - powiedziała domyślnie - a więc wszystko sprowadza się do tego, że jesteś samowystarczalny.

Denver zmarszczył brwi:

- Nie, to nie tak.

Charlie pochyliła się w jego stronę, przeszywając go spojrzeniem swoich fiołkowych oczu.

- Czego się tak boisz? Czy tego, że jesteś mi coś winien? Odsunął się od niej i znieruchomiał.

- Nic ci nie jestem winien. Przecież porąbałem drewno. Charlie uniosła brwi.

- I uważasz, że jesteśmy kwita? A kto wysuszył ci ubranie... i nie zapominaj o pieczeni... i placku.

W duchu Denver niechętnie przyznał jej rację.

- No więc powiedz, czego ode mnie chcesz.

- Jesteś mi winien przysługę.

- Nie sądzę.

- Ależ tak. - Charlie zrobiła efektowną pauzę, by go zaintrygować. - Czy chcesz wiedzieć, jak możesz mi się odwdziżyć?

Roześmiał się z przymusem.

- Nie wiem. Mów.

Przysunęła się do Denvera.

- Chodzi o naprawdę niewielką przysługę.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- O jak „niewielką”?

Charlie posłała mu najbardziej promienny uśmiech, na jaki tylko było ją stać.

- Bardzo byś mi pomógł, gdybyś... - Wzięła głęboki oddech i zamrugała rzęsami. - Gdybyś mógł udawać mojego męża. Tylko na krótko. Naprawdę wybawiłbyś mnie z dużych kłopotów.

Denver gapił się na nią przez chwilę, a potem szybko przesunął się na drugi koniec kanapy.

- Och, nie! Coś takiego! - wycedził i spojrzał na nią przerażony, jakby miała na głowie gniazdo szerszeni. - Trzymaj się ode mnie z daleka!

Ale Charlie przybliżyła się do niego, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Poczekaj, Denver, ja...

Spojrzał na jej dłoń, jakby obawiał się, że zaraz wypali mu na skórze bolesne piętno.

- Nic z tego! - powiedział, potrząsając głową.

Charlie wzmocniła uścisk. Była pewna, że Denver wreszcie dostrzeże prośbę w jej oczach i nie odmówi pomocy.

- Niczego nie rozumiesz, nie mam na myśli prawdziwego związku. Muszę tylko przekonać ludzi, że jesteśmy małżeństwem. Bardzo mi na tym zależy.

- Nie. - Wolną ręką wlał do gardła resztkę whisky i skrzywił się. - To niemożliwe.

By jej nie uciekł, przysunęła się do niego jeszcze bliżej, a jej palce wczepiły się w jego koszulę.

- To niemożliwe.

Znowu się uśmiechnęła.

- Daj spokój, będziemy wspaniałą parą. Nie sądzisz? Denver badawczo się przyjrzał Charlie. Jego wzrok utonął w jej fiołkowych oczach. Poczowała się nieswojo.

- Nie! - powiedział gwałtownie. Potrząsnął głową na znak, że jest to ostateczna odpowiedź. - Lecz jego oczy nagle zmieniły wyraz. - Nie, bardzo ci dziękuję, ale nie chcę się żenić.

Charlie zamarła.

- Nie, Denver, nie o to chodzi...

Podniósł dłoń, jakby miał zamiar strzepnąć z siebie jej rękę.

- Jesteś cudowną kobietą - przemawiał mentorskim tonem, jak mówca na trybunie. - Ale ja nie chcę mieć dzieci i nie pragnę się z nikim wiązać. Małżeństwo mnie nie interesuje. Zapomnij o tym.

Odwrócił się od Charlie. W oczywisty sposób uważał sprawę za zakończoną.

Uniosła ręce w geście rozpacz. Co jest z tym facetem? Myślała, że wszystko mu wyjaśniła. A oto ten idiota najwyraźniej uważa, że ona mu się oświadcza. No cóż, nie ma wątpliwości, że dostała kosza.

Jej oczy załśniły.

- Szanowny panie, nie obchodzi mnie, co pan sądzi o małżeństwie. To nie były oświadczyzny. Ja tylko...

Denver spojrział na nią przeciągle. Kogo ona chce nabrać? Głośno zaś powiedział:

- Przecież właśnie mi się oświadczyłaś.

- Ja... - Charlie była bliska wybuchu, lecz równocześnie trochę zażenowana. - Gdybym chciała naprawdę wyjść za mąż, na pewno nie byłby to nikt podobny do ciebie. Uwierz mi.

- Czyżby? - Jego spojrzenie znów dziwnie podziałało na

Charlie. - Czyżby? - Mówiąc to podniósł się z kanapy i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. Zatrzymał się przed Charlie i wbił w nią wzrok. Odsunęła się, czując się coraz bardziej zakłopotana.

- Tak - odpowiedziała, ale jej głos był dużo cichszy, niż tego chciała, a serce biło tak głośno, że Denver na pewno to usłyszał.

Nagle pogładził ją po policzku. Ich oczy nabrały tajemnego blasku, a on patrzył na jej usta.

- Może zmienisz zdanie, jeśli cię pocałuję? - wyszeptał.

- Chyba nie - odpowiedziała, choć przyszło jej to z trudem.

Nie stawiała oporu, gdy Denver wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

Nie rozumiała swoich reakcji. Od lat żyła sama, choć wielu mężczyzn próbowało to zmienić. Zazwyczaj broniła się przed nimi kąśliwym słowem, bardziej natarczywych przywoływała do porządku ostrym gestem. Jej twardy upór sprawił, że od ponad pięciu lat żaden mężczyzna nie dotknął jej ust. A teraz nie potrafiła oprzeć się Denverowi. Dlaczego?

Czas płynął w zwolnionym tempie i było to wspaniałe uczucie. Nie potrafiła logicznie myśleć. Nie mogła wydusić ani słowa. Próbowwała się poruszyć, ale ciało nie było jej posłuszne. Czowała się taka... bezsilna, jakby odurzona narkotykami.

Denver pachniał alkoholem i mydłem, i czymś jeszcze. Ten zapach był bardzo męski, ale i trochę niebezpieczny. Instynktownie uniosła usta do pocałunku, a gdy Denver przywarł do niej swymi wargami, świat zawirował i wszystko wymknęło się spod kontroli. Od tak dawna tłumiony płomyk zamienił się w wulkan i swoim żarem wypełnił jej ciało. Charlie czuła się swobodna i lekka, jak gdyby uwolniła się

z niewidzialnych okowów. Jego usta były gorące i słodkie, a ona wciąż była nienasycona. Czuła narastające pragnienie, jakiego do tej pory nigdy nie zaznała. Całą mocą rozbudzonego pożądania parła ku temu, by złączyć się z Denverem, by wchłonąć go w siebie.

Pragnęła go. Było to dla niej zupełnie nowe uczucie, lecz nie napawało jej lękiem.

Jednak Denver nadal panował nad sobą.

Niezależnie od własnego podniecenia, dokładnie rozumiał, co dzieje się z Charlie i że w każdej chwili może ją zdobyć. Była taka dobra, taka piękna - i gotowa na wszystko. Pożądał i był pożądany, wiedział o tym. Jego ciało pragnęło jej ciała, lecz rozum mówił mu, że powinien nad sobą panować, bo zachowuje się jak idiota.

Charlie płonęła pożądaniem. Wyczuwał, że od dawna nie była z mężczyzną, a teraz, z jakichś powodów, straciła nad sobą kontrolę. To zły czas i nieodpowiednie miejsce. Gdyby ją teraz wykorzystał, nie darowałby sobie tego. To nie byłoby w porządku.

Ale było już niemal za późno, sprawy zaszły za daleko. Jeśli się w porę nie opamięta, ciało przegra batalię z rozsądkiem. To ostatnia chwila, by się wycofać.

Próbował się odsunąć, lecz Charlie nie pozwoliła na to. Jej dłonie wślizgnęły się pod koszulę Denvera i namiętnie gładziły jego ciało. Jej dotyk był zbyt podniecający. Denver rozpaczliwie westchnął. Wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Jeszcze kilka chwil, a będzie za późno. Musi to natychmiast przerwać. Odwrócił się od Charlie... i stanął na chorej nodze.

Krzyknął z bólu i upadł na plecy. Z zamkniętymi oczami oczekiwał następnej fali bólu. Prawie nie zauważył, że Charlie pomogła mu wstać i doprowadziła do łóżka. Ból minął

dość szybko, lecz duszę Denvera spowił obłok żalu. Właśnie miał szansę, by zdobyć kobietę, o której marzył przez wiele lat. Lecz wycofał się. Czy był szaleńcem, czy też człowiekiem rozsądnym?

A może jedno i drugie. Jęknął, gdy przykrywała go kocem. Zamknął oczy. Usłyszał jakiś ruch w pokoju i odwrócił głowę.

- Charlyne? - zapytał na wpeł przytomnie. - Jesteś tu jeszcze?

Zamarła, trzymając rękę na klamce. Pomału odwróciła się i spojrzała na niego.

- Coś ty powiedział?

- Wypowiedziałem twoje imię. Adrianna Charlyne Chandler. Chyba dobrze pamiętam?

Zadrżała i objęła się ramionami. Tak dawno nikt jej tak nie nazywał. Poczowała ucisk w sercu, jak na dźwięk zapomnianej melodii z dzieciństwa. Jej oczy pojaśniały w ostatnich refleksach słońca.

- Czy to ty jesteś tym facetem? Przysłała cię moja matka? Nie rozumiał, o co jej chodzi.

- Twoja matka? - powtórzył bezmyślnie. Potrząsnął energicznie głową, usiłując skoncentrować się na jej słowach.

- Co ma do tego twoja matka?

Charlie głośno westchnęła.

- Kim naprawdę jesteś?

Głowa Denvera bezwładnie opadła na poduszkę.

- Naprawdę nazywam się McCaine. Moja siostra, Gail, była twoją szkolną przyjaciółką.

Gail McCaine. Denver McCaihe. Dzień promocji. Z oddali napłynęły wspomnienia. Pamięta brata swej przyjaciółki, szorstkiego, lecz nadzwyczaj atrakcyjnego mężczyznę, który pojawił się równie nagle, jak zniknął. Bardzo chciała go

wtedy poznać, ogromnie ją zaintrygował. To dlatego jego twarz wydała się jej znajoma.

- Denver McCaine - powtórzyła miękko i podeszła do łóżka. Uważnie mu się przyjrzała. - Och, mój Boże, nie mogę w to uwierzyć.

Denver otworzył oczy. Pokój na chwilę zawirował. Tuż nad sobą zobaczył jej jasne włosy. Schwycił jeden kosmyk i owinał go sobie wokół palca.

- Zostań, niczego ci nie zrobię, obiecuję... Proszę. Przytulił ją, nie wiedząc, czy to jawa, czy sen. Reszką świadomości poczuł jednak, że Charlie kładzie się obok niego. Ogarnął go niewypowiedziany spokój, tak błogi, że nie mogły się z nim równać nawet najwspanialsze uniesienia miłosne. Wtedy ogarnął go sen.

Charlie obserwowała go w świetle księżyca. Oddychał powoli i głęboko. Spał już ponad godzinę, lecz ona wciąż czuwała przy nim, nie wiedząc, czy może zostawić go samego.

Denver McCaine. Podobało się jej to imię, ponieważ łączyło ją z przeszłością, od której wprawdzie uciekła, lecz o Której nie zapomniła. Chętnie przegadałaby z nim całą noc. Była ciekawa, co dzieje się z Gail. Ale musi poczekać, dopóki Denver nie wytrzeźwieje. Teraz może tylko patrzeć na niego i słuchać, jak oddycha.

To zabawne, ale gdy była z Jeffem, nigdy tak się nie czuła. Ich wspólne noce do dzisiaj wspominała bardzo nieprzyjemnie. Nawet nie przyszło jej do głowy, by przyglądać się śpiącemu mężowi.

Znów wróciła myślami do wspomnień. Gail była cudowną dziewczyną, a jej tajemniczy brat wyglądał niezwykle męsko. Z perspektywy czasu zrozumiała, że sposób, w jaki na nią wtedy spojrzał, nie był zupełnie niewinny.

Hormony. Jeżeli to prawda, co o tym teraz wypisują, to wszystkiemu winne były hormony.

Nagle, w środku nocy, zaczęła chichotać.

Niemniej jednak powinna już pójść. Jest matką. Nie wolno jej zapominać o Robbiem. To nie w porządku, że leży z obcym mężczyzną w jednym łóżku. Nigdy, nawet w najśmielszych snach nie przypuszczała, że zrobi coś takiego. Przeciągnęła się jak kotka i na chwilę przytuliła twarz do ramion Denvera. Był ciepły i muskularny. Zrozumiała, że igra z ogniem. Natychmiast powinna wstać i odejść. Ale on przez sen przyciągnął ją do siebie. Delikatnie musnęła jego policzek ustami. Nie mogła dłużej siebie oszukiwać. Bliskość mężczyzny sprawiała jej ogromną przyjemność.

Nie chodzi o Denvera, pomyślała. Chodzi o to, że bardzo potrzebuję faceta.

Ogarnęła ją aksamitna ciemność nocy. Jej sen był lekki i wypełniony marzeniami o miłości. Nie widziała twarzy kochanka, lecz jego ciało było ciałem Denvera. Spokój, którego zaznała, był wszechogarniający.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Charlie obudziła się w męskich ramionach i było jej z tym dobrze. Nie chciało jej się wstawać z łóżka, lecz nagle ktoś zaczął uporczywie dobijać się do drzwi.

Otworzyła szeroko oczy. Z trudem uprzytomniła sobie, że jeśli ktoś puka do drzwi, to należy wpuścić go do środka.

- Chyba mam gościa - mruknęła. Wygrzebała się z ciepłej pościeli i zmrużyła oczy przed słońcem. To nie było jej łóżko. To nie był jej dom. Nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest.

- Och, mój Boże - wyszeptała, spoglądając na Denvera. Miał na wpół zmrużone oczy. Był równie jak ona zdziwiony i bardzo spięty.

- Co, do diabła... - zaczął.

Lecz Charlie nie słuchała go, tylko szybko wyskoczyła z łóżka. Szczęście w nieszczęściu, że mieli na sobie ubrania.

Pukanie do drzwi nie ustawało, a po chwili ktoś głośno zapytał:

- Charlie, jesteś tam?

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Znalazła się w pułapce. Głos należał do jej przyjaciółki i sąsiadki Margo, osoby wścibskiej i upartej.

Denver uniósł się na łokciu i patrzył na Charlie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Może nawet nie pamiętał, dlaczego się tu znalazła. Pewnie w ogóle nie pamiętał, co zaszło tej nocy. Ciekawe, ciekawe...

- To Margo, moja sąsiadka - wyjaśniła Charlie, gorączkowo przy tym gestykulując, jakby to miało ułatwić Denverowi zrozumienie jej słów. - Może otworzysz? Nie tak łatwo się jej pozbyć.

- A więc udawajmy, że nas nie ma - zaproponował i nadal patrzył na nią zdumionym wzrokiem, jakby właśnie ujrzał kosmitkę, która podstępnie wdarła się do jego chaty.

- Muszę ją wpuścić - odpowiedziała z naciskiem Charlie, poprawiając na sobie ubranie. - Na pewno zobaczyła mój skuter i wie, że tu jestem.

Denver zamknął oczy i mruknął:

- Zrób coś, by stąd zniknęła.

Charlie wiedziała, że Denver marzy tylko o tym, by obie z Margo poszły sobie do diabła. Ale zupełnie się tym nie przejęła.

- To nie takie proste. Nie znasz jej - powiedziała, patrząc w lustro i przyglądając dłonią potargane włosy. - Ale zobaczę, co da się zrobić.

Denver nawet najmniejszym gestem nie zareagował na jej słowa. Pobiegła więc szybko do drzwi i szeroko je otworzyła.

- Cześć, Margo! - powiedziała, siląc się na beztronski, promienny uśmiech. - Co cię sprowadza o tak wczesnej porze?

Margo próbowała coś odpowiedzieć, lecz była tak zdumiona, że zamiast słów z jej krtani wydobył się przeciągły, indyjski gulgot. Brian, jej mąż, stał za nią, wyraźnie zakłopotany. Widać było, że wiele by dał, by jak najszybciej znaleźć się w innym miejscu.

- Co... co ty tu robisz? - spytała Margo, gdy wreszcie odzyskała głos. A następnie w teatralnym geście wyrzuciła ramiona w górę. - Nie, cofam to. Nie chcę nic wiedzieć.

Charlie z mizernym skutkiem próbowała się roześmiać.

- Margo... - zaczęła, lecz jej przyjaciółka nie była w nastroju do słuchania.

- Charlie, szukam cię przez całą noc. Dzwoniłam do ciebie, ale nikt nie podnosił słuchawki. A przecież ty zawsze jesteś w domu. Chciałam się poradzić, jak przygotować deser. Wiem, że świetnie gotujesz. Bardzo liczyłam na twoją pomoc.

Charlie uśmiechnęła się z przymusem.

- Przepraszam cię, Margo, ale ja...

- Jakies dzieciaki widziały, jak wiozłaś na skuterze nieznanego mężczyznę. Zupełnie nie wiedziałam, co o tym sądzić. A potem ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że twój pojazd stoi przed domem starego McHenry'ego. A ty wciąż nie wracałaś do domu i wtedy zaczęłam się martwić. Nie mogłam zmrużyć oka i wreszcie powiedziałam do Briana: „Musimy ją ratować, i tak nie zasnę”. - Margo machnęła ręką i czujnie zlustrowała wnętrze domu, jakby wypatrując wroga, czającego się w środku. - Czy naprawdę tam jest mężczyzna? Nie martw się, kochanie, Brian to z nim załatwi. Gdzie on jest? Brianie, zajmiesz się tym, prawda?

Charlie dostrzegła w oczach Briana zakłopotanie, gdy próbował uspokoić rozgorączkowaną żonę.

- Hm, Margo, nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Mam na myśli to, że Charlie jest dorosła i jeśli chce...

Ale Margo go nie słuchała. Wyciągnęła do Charlie rękę i powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Chodź, zabieramy cię do domu, gdzie twoje miejsce.

- Margo, przestań - powiedziała Charlie. Była zarówno rozbawiona, jak i zniecierpliwiona. - Mężczyzna, o którym mówisz, nie porwał mnie. Jestem tu z własnej woli.

Margo nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień i wyglądała na bardzo zdecydowaną.

- Jest wiele sposobów, by uwieść kobietę. Niektórzy mężczyźni potrafią omamić pięknymi słówkami, a niektóre kobiety tracą głowę, gdy usłyszą lada komplement. Zabieramy cię stąd. Kiedy już otrzeźwiejesz, podziękujesz nam...

- Posłuchaj mnie, Margo. Jestem tu, bo tak mi się podoba. Margo odchyliła do tyłu głowę i wsparła się pod boki.

- Czyżby? No cóż, nie wierzę ci. Dobrze cię znam, Charlie Smith i wiem, że nigdy byś.

Słowa uwieźły jej w gardle, ponieważ w tej właśnie chwili w drzwiach pojawił się Denver. Był kompletnie ubrany, uczesany i odświeżony. Charlie musiała przyznać, że wyglądał świetnie.

- Dzień dobry - powiedział po prostu, obrzucając spojrzeniem całą trójkę. - O co chodzi?

Charlie odwróciła się do swoich przyjaciół.

- Przedstawiam wam Denvera Smitha.

- Smith? Czy ja dobrze usłyszałam?! - wykrzyknęła

Margo.

Charlie przytaknęła.

- Tak, to jest mój... mąż.

- Kto taki?!

Margo i Brian wlepili wzrok w Denvera, a Denver wlepił wzrok w Charlie, która zaczęła mienić się na twarzy. By nie dopuścić nikogo do głosu, nieco piskliwie i bardzo szybko wyjaśniała:

- Denver jest moim mężem. Wiecie przecież, że miałam męża, prawda? Jest... jest ojcem Robbiego. Rozstaliśmy się jeszcze przed jego narodzinami. I wtedy tu przyjechałam. A teraz mój mąż odwiedził mnie. Zastanawiamy się, czy nie powinniśmy dać sobie jeszcze jednej szansy. Musimy coś zdecydować i chyba rozumiecie, że chcemy być sami.

Pierwsza zareagowała Margo. Zgodnie z jej zmienną naturą natarczywe wścibstwo ustąpiło miejsca poczuciu winy.

- Och, Charlie, wybacz mi! Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- A dlaczego mnie nic nie powiedziałaś?! - równocześnie zapytał Denver, lecz jego słowa zagłuszył donośny głos Margo.

Charlie spojrzała mu w oczy, potrząsnęła głową i obdarzyła słabym uśmiechem. Z przerażeniem stwierdziła, że Denver najpewniej nie pamięta, jak go prosiła, by udawał przed ludźmi jej męża.

- Przepraszam - szepnęła do niego. - Jak tylko sobie pójdą, wszystko ci wyjaśnię.

Niestety, nie było łatwo pozbyć się natrętnej przyjaciółki. Margo wyraźnie miała ochotę dzielić z nimi na nowo odnalezione szczęście. Czuła się nieco zakłopotana, że nikt nie kwapi się do udzielania odpowiedzi na jej pytania. Wreszcie niechętnie wyszła, ciągnąc za sobą oszołomionego Briana. Charlie została sam na sam z Denverem.

Nieporuszony jak głaz, nie reagował na przywilne uśmiechy Charlie. Zaczęła się denerwować.

- Zdaje się, że z twoją nogą jest już lepiej - powiedziała, by zyskać na czasie.

Denver skrzywił się.

- Tak, o wiele lepiej. Nic nie usprawiedliwia twojego postępowania. Po co się tu szwendasz i udajesz siostrę miłosierdzia?

Charlie spojrzała na niego z żalem. Gdzie podział się ten sympatyczny facet, jakim był w nocy? Na pewno ukrywał się pod bardzo grubą i twardą skorupą. Podejrzewała, że Denver niechętnie dopuszczał do głosu miłszą stronę swojej natury.

- Jaka szkoda - mruknęła.

- Co takiego?

- Nic. - Uśmiechnęła się. - Może napijesz się kawy? - zaproponowała. - Pójdę do kuchni i zaraz zaparzę...

Denver chwycił ją za ramię.

- Nie chcę żadnej kawy. Żądam jedynie wyjaśnień.

Próbowała zajrzeć mu głęboko w oczy. Nie był w zbyt dobrym nastroju. Nieprzystępny i podejrzliwy, prawie dziki. Boleśnie ścisnął jej ramię. Stał bardzo blisko niej i to rozpraszało jej myśli. Nie może tak reagować na każdy jego dotyk. Przecież mają tylko udawać małżeństwo.

Ale on się na to nigdy nie zgodzi. Miał to wypisane w twarzy. Nerwowo spojrzała na niego. Wiedziała już, że wyśmieje jej prośbę. Musi więc znaleźć na niego jakiś inny sposób.

Przełomie zerknęła na jego twarz, a później utonęła wzrokiem w jego niebieskich oczach.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że lubisz sobie wypić - powiedziała z troską w głosie, mając nadzieję na szybką zmianę tematu.

Podziałało tylko na krótką chwilę. Denver machinalnie uwolnił jej ramię.

- Nie jestem pijakiem - zaprotestował.

- Naprawdę? - Obrzuciła go znaczącym spojrzeniem i ruszyła w kierunku kuchni. - W takim razie świetnie go udawałeś - rzuciła przez ramię.

Denver poszedł za nią, stanął w drzwiach i milczał. Zdennerwowana Charlie zaczęła krzątać się po kuchni. Robiła wszystko jakby w zwolnionym tempie, chcąc w ten sposób ukryć drżenie rąk. Gdy wreszcie odważyła się spojrzeć Denverowi w oczy, z zaskoczeniem stwierdziła, że był on niezwykle zmartwiony i skonsternowany. Takim go jeszcze nie widziała.

- Co jeszcze zrobiłem w nocy? - zapytał niepewnie.

Charlie z trudem powstrzymała triumfalny okrzyk. Teraz już była absolutnie pewna, że biedak niczego nie pamięta. By się jednak ostatecznie upewnić, zapytała:

- Ty naprawdę niczego nie pamiętasz?

Zrobił dobrą minę do złej gry.

- Jasne, że wszystko pamiętam. Chciałem tylko się przekonać, co ty o tym wszystkim sądzisz. - Jego oczy zdradzały, że rozpaczliwie szuka jakiegoś znaku w zachowaniu Charlie,

Miała ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem. On nie wie, co razem robili, do czego między nimi doszło. Odwróciła się, by niczego nie mógł wyczytać z wyrazu jej twarzy. Ten facet był zupełnie zagubiony. Z jednej strony pragnęła przytulić się do niego i zapewnić, że między nimi nic zaszło. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Z drugiej strony bowiem chodziło o jej przyszłość i bardzo potrzebowała pomocy Denvera. Czy uda jej się jeszcze trochę go pozwoździć?

Włączyła ekspres i odwróciła się.

- Chciałbyś wiedzieć, co ja o tym wszystkim sądzę? - powtórzyła powoli, udając onieśmienie. - Może najpierw ty coś powiesz o ostatniej nocy?

Zobaczyła, jak nabrzmiewają mu żyły na skroniach. Ciężko oparł się o blat.

- Nie... raczej nie.

Spojrzała na niego wzrokiem niewiniątka.

- To stało się tak nagle. Wiem, że powinniśmy się lepiej poznać, zanim... zanim...

Denver głośno przełknął ślinę i ochryple zapytał:

- Zanim co?

Z zalotną nieśmiałością uśmiechnęła się do niego.

- Zanim sprawa stanie się tak poważna.

- Poważna? - Denver nerwowo rozluźnił kołnierzyk, jakby zabrakło mu tchu. - Nigdy nie jestem poważny - szybko dodał. - Powinnaś to wiedzieć. Prawie mnie nie znasz, niczego o mnie nie wiesz. Często rzucam słowa na wiatr.

- Ale ty mówiłeś serio - powiedziała serdecznym tonem.  
- Mężczyzna w takiej chwili nie oszukuje. Wiesz, o co chodzi...

Denver z trudem powstrzymał przekleństwo.

- Nie - odpowiedział tylko i podszedł bliżej, uważnie jej się przypatrując. - Nie, nie wiem, o co chodzi. Może ty mi wytłumaczysz?

Podawała mu kubek z kawą.

- Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie powiedział mi czegoś podobnego.

Wzięła swój kubek i poszła do pokoju.

Przez moment Denver obserwował ją ze zmarszczonymi brwiami. Wreszcie ruszył za nią. Usiedli obok siebie przy małym stoliku. Uporczywie szukał wzrokiem jej oczu, jakby chciał z nich wyczytać prawdę i powiedział:

- Posłuchaj, Charlie. Byłem pijany. Nie pamiętam, co mówiłem. W ogóle niczego nie pamiętam.

- A to pech, bo mówiłeś tak pięknie - powiedziała, uśmiechając się rozkosznie. - Byłeś bardzo przekonujący.

Denver przełknął łyk gorącej kawy i skrzywił się. Zanim zdążyły ogarnąć ją wyrzuty sumienia, Denver spojrzał na nią nieco śmieiej.

- Chwileczkę - powiedział, oskarży cielsko wskazując na nią palcem. - Nie byłem aż tak pijany. - Jego spojrzenie stało się bardzo podejrzliwe. - Coś sobie zaczynam przypominać. Mówiliśmy chyba o... - Nerwowo omiół wzrokiem pokój i zawahał się. - Tak, rozmawialiśmy o instytucji małżeństwa, a dzisiaj rano ty powiedziałaś.

Te przebłyski pamięci bardzo zaniepokoiły Charlie. Zdecydowała się na błyskawiczny atak:

- Nie pamiętasz, że w nocy mi się oświadczyłeś?

Przez moment patrzył na nią nieruchomo, ale zaraz po-



trzasnął zdecydowanie głową. Wreszcie zrozumiał jej podstęp. Może to i zabawne, ale jakże żałosne.

- Nie - powiedział, odzyskawszy dawną pewność siebie.

- To po prostu niemożliwe.

Charlie spojrzała na niego ze smutkiem. Szkoda, że się nie udało.

- To cały ty. - Wciąż nie rezygnowała ze swego planu.

- Naprawdę niczego nie pamiętasz? No dobrze, powiem ci dokładnie, co się zdarzyło. - Przynęła się bliżej i odstawiła kawę. - Próbowalesz mnie przekonać, że mogłabym się zakochać w facecie takim jak ty. Że jesteś w moim typie.

Ale Denver stał już na twardym gruncie i nie traktował słów Charlie poważnie. Musiał jednak przyznać, że przez jakiś czas zrećźnie wodziła go za nos.

- A dlaczego miałbym cię o tym przekonywać?

Jej oczy stały się wielkie jak spodki.

- To chyba oczywiste.

- A jakże! - stwierdził gniewnie. - Każdy idiota by zrozumiał, że to ty od pierwszej chwili leciałaś na mnie.

Charlie wybuchnęła głośnym śmiechem:

- Ty... ty...

- Ciągłe pod byle pretekstem zdzierasz ze mnie ubranie. Wciąż się tu szwendasz jak zadurzona nastolatka. Dobrze wiem, do czego zmierzasz.

- Denver! - Wyciągnęła rękę, jakby chciała go uderzyć, ale on złapał ją za przegub.

- I wciąż mnie dotykasz! - krzyknął i uniósł jej dłoń, jakby była dowodem rzeczowym prezentowanym ławie przysięgłych.

Charlie wybuchnęła śmiechem, lecz nagle coś w jego oczach spowodowało, że umilkła. Stali tak blisko siebie, że Denver czuł na szyi jej oddech. Jasne, bujne włosy Charlie

opadały na oczy, a jej czerwone i błyszczące usta przywodziły na myśl świeżo zerwane wiśnie. Pokusa była zbyt silna. Pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Chyba się nie mylę. Przyznaj, że mnie pragniesz - mruknął.

Charlie straciła oddech i potrzęsła przecząco głową, ale jej spojrzenie mówiło co innego. Znow ją pocałował. Była tak delikatna, że aż prawie nierzeczywista. Denver otworzył oczy, by przekonać się, że całuje nie zjawę, ale żywą kobietę.

Serce ścisnął mu ból, który rósł z każdą chwilą i przenikał go na wskroś. Wiedział, że musi odtrącić Charlie. Oboje będą cierpieć, ale inaczej być nie może. Należeli do innych światów. Trzeba temu położyć kres.

Odsunął ją i sięgnął po kawę, próbując ukryć zdenerwowanie. Spojrzała na niego zdziwiona. A on wiedział, że musi wydostać się stąd, uciec, bo inaczej znow ją pocałuje. Kulejąc, dowlóknął się do drzwi. Słońce było już wysoko. Powinien wyjść na świeże powietrze. Szedł tak szybko, jak potrafił, aż wreszcie znalazł się na ścieżce wiodącej do lasu. Charlie szła za nim. Był na nią za to zły, lecz jego drugie „ja” wciąż marzyło o jej słodkich, delikatnych ustach.

Gdy dotarł do na wpół zburzonego kamiennego murku, zawahał się. Widok doliny był oszałamiający. Postanowił chwilę odpocząć i usiadł na kamieniach. Charlie również usiadła, jednak Denver z ironią zauważył, że wybrała miejsce jak najdalsze od niego. Długo milczeli.

- Charlie, powiedz mi wreszcie - powiedział szorstko - czy kochaliśmy się tej nocy, czy nie?

Zawahała się przez chwilę, aż wreszcie z uśmiechem spojrzała na niego i odpowiedziała wymijająco:

- A więc naprawdę myślisz, że jestem taką dziewczyną? Że znajomość z facetem zacznam od łóżka?

Z jej oczu wycierał niezmacony spokój.

- No, nie wiem... A czemu nie? Ostatecznie dzisiaj rano znalazłem cię w moim łóżku.

Charlie ramionami objęła kolana i spojrzała na niebo nad wierzchołkami starych sosen.

- No dobrze, więc posłuchaj, jak naprawdę było. Byłeś pijany. Przyszłam i poprosiłam cię o pomoc w pewnej sprawie. Zgodziłeś się, a później jakoś tak... zaczęliśmy się całować. - Denver zachował kamienny spokój, a ona mówiła dalej. - Później wymieniliśmy kilka uwag na temat małżeństwa i ty powiedziałeś, że to nie jest zły pomysł...

W tym momencie Denver gwałtownie zareagował:

- Ty mała kłamczucho! Na pewno niczego takiego nie powiedziałem. - Jego głos był stanowczy. - Koniec żartów!

Charlie w obronnym geście uniosła rękę.

- No dobrze, przyznaję, nie poprosiłeś mnie o rękę, ale zgodziłeś się udawać mojego męża.

Popatrzył na nią sceptycznie.

- Czyżby?

Zawahała się, unikając jego wzroku.

- A czemu nie, skoro okazało się, że jesteśmy starymi znajomymi...

- Powiedziałem ci, że się znamy? To nie był sen?

Charlie skinęła.

- Tak, ogromnie mnie tym zaskoczyłeś. - Uniosła głowę.

- A właśnie, co słyhać u Gail? Od bardzo dawna nie miałam od niej żadnych wiadomości.

Denver zamarł w bezruchu.

- Nie wiem, co się z nią dzieje. Nie mam z nią teraz kontaktu - powiedział lakonicznie.

Unikając jej zdziwionego spojrzenia, Denver gwałtownie się odwrócił. Było jasne, że nie chciał o tym rozmawiać.

Charlie przez chwilę się wahała, była bowiem bardzo ciekawa nowin o swojej przyjaciółce. Jednak teraz miała na głowie dużo ważniejsze sprawy i Gail musi poczekać.

- Nieważne. Jak już mówiłam, jesteśmy starymi znajomymi i... - Wzięła głęboki oddech i poszukała wzroku Denvera. - Wiesz przecież, że nie nazywam się Smith. Używam tego nazwiska, ponieważ nie chcę, by ktokolwiek mnie tutaj znalazł. Ty trafiłeś na mnie zupełnie przypadkiem. Mam nadzieję, że będę mogła żyć dalej w tej dolinie. To dla mnie bardzo ważne. Odeszłam... no, właściwie uciekłam z domu prawie sześć lat temu.

Charlie był ogromnie zaintrygowany. Czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Przyjechałam w góry, kiedy byłam w ciąży z Robbiem. Michiko i Ernie, właściciele restauracji, w której pracuję, przyjęli mnie pod swój dach. Są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Mieszkam tu i chcę tu zostać. Tu jest mój dom.

Denver spojrział na jej dłoń, szukając obrączki, choć był prawie pewien, że Charlie jej nie nosi. Chciał ją zapytać o ojca Robbiego, ale w ostatniej chwili ugryzł się język.

- A więc dobrze - ciągnęła dalej, patrząc na niego jasnym spojrzeniem. - Będę szczerą. Jesteś jedyną osobą w miasteczku, która wie, kim naprawdę jestem. Nikt z moich bliskich nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje, ani rodzina, ani przyjaciele. Zbudowałam sobie nowe życie i chcę, by tak zostało.

Denver wstał i nerwowo przeczesał włosy. Nie był pewien, dlaczego, ale instynktownie czuł, że Charlie postępuje niewłaściwie.

- Dlaczego zerwałaś kontakty z rodziną? Nie sądzisz, że twoi bliscy powinni wiedzieć, gdzie jesteś i jak żyjesz?

Charlie popatrzyła gdzieś w bok.

- Zawiadomiłam ich, że u mnie wszystko w porządku,

ale później już się nie odzywałam - powiedziała szybko i zwróciła twarz w jego stronę. - Czy w ogóle pamiętasz moją matkę? Pamiętasz, jaka ona jest? Rujnowała mi życie przez dwadzieścia jeden lat i nie pozwolę, by zniszczyła je Robbiemu.

W miarę mówienia głos Charlie brzmiał coraz donośniej. Denver z zakłopotaniem opuścił wzrok. Zawsze deprimowało go, gdy ktoś otwarcie mówił o swoich emocjach.

- A więc ukrywasz się tutaj pod fałszywym nazwiskiem, a twój mały synek nawet nie zna swojej babci - powiedział spokojnie.

Charlie skinęła głową.

- Czy to jest uczciwe? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała szybko. - Ale nie zawsze możemy postępować uczciwie. - Niecierpliwym gestem odgarnęła włosy i głęboko westchnęła, chcąc się uspokoić. - Kiedy Robbie będzie miał osiemnaście lat, wszystko mu powiem. - Bezszykownie usiłowała nadać swemu głosowi swobodne brzmienie.

Denver z niedowierzaniem pokręcił głową.

- To czyste szaleństwo - stwierdził po prostu.

- Może i tak, ale to moje życie. - Patrząc wymownie na jedną z licznych blizn Denvera, mówiła dalej: - Zresztą, jesteś ostatnim, który mógłby mnie osądzać. Sam żyjesz jak szaleniec, prawda?

- To mój wybór i tylko ja ponoszę jego konsekwencje. Charlie na chwilę przytknęła oczy.

- No dobrze, dostało mi się, częściowo nawet słusznie. Ale mam prawo wychowywać syna po swojemu. Nie pozwolę mojej matce zawlec nas z powrotem do San Francisco, a zapewniam cię, że zrobiłaby to, gdyby nas tylko znalazła.

- Impulsywnie wstała i ujęła dłonie Denvera. - A teraz jakiś

wynajęty przez nią detektyw węszy w całej dolinie i wszędzie zostawia moje zdjęcia. Na szczęście to stara fotografia i nikt mnie na niej nie rozpoznał. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Jeśli będziesz udawał mojego męża, nikt mnie nie skojarzy z poszukiwaną Charlyne Chandler. - Uśmiechnęła się przyjacielsko. - Ustaliliśmy to wszystko w nocy, tylko ty niczego nie pamiętasz. Denver bardzo lubił ten uśmiech.

- A więc twierdzisz, że w nocy zgodziłem się udawać twojego męża - wycedził przez zęby.

Skinęła głową, udając, że podziwia piękno gór.

- Pewnie, czemu miałbyś się nie zgodzić?

Denver chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

- Powtórz to, patrząc mi prosto w oczy - zażądał.

- Denver! - krzyknęła, usiłując się uwolnić.

- Patrz mi prosto w oczy!

Charlie powoli podniosła głowę.

- Nie wierzysz mi?

Zaśmiała się ironicznie.

- A niby dlaczego miałbym ci wierzyć? Przez cały ranek mnie okłamujesz.

Zarumieniła się i przygryzła wargi.

- Mocne słowa - szepnęła z zakłopotaniem.

- Ale prawdziwe. - Puścił ją. - Chyba nie zaprzeczysz?

- No dobrze, trochę zmyślałam. Właściwie to niczego mi nie obiecałeś. Powiedziałam ci, że jesteś mi coś winien, a ty, no cóż... nie zaprzeczyłeś.

Patrzył na nią zafascynowany. Gdyby ktoś dzień wcześniej powiedział mu, że nie zgodzi się udawać męża Charlyne Chandler, nie uwierzyłby. A teraz musiał jej odmówić.

- Bądź poważna, Charlie, dorośnij. Musisz stawić czoło swojej matce. Nie możesz wiecznie przed nią uciekać.

- To nie takie proste, naprawdę.

Denver zacisnął usta.

- W takim razie musimy się pożegnać. Nie potrafię ci pomóc.

Lecz Charlie mówiła dalej, jakby nie słyszała jego słów.

- Nic byś nie musiał robić, naprawdę. Nie musiałybyś ze mną mieszkać ani...

Potrząsnął zdecydowanie głową.

- Charlie, czy choć raz przyszło ci na myśl, że miałem własne powody, by tu przyjechać?

Na krótką chwilę zamknęła oczy, a później wstała. Na odchodnym rzuciła tylko:

- Szkoda, bylibyśmy dobraną parą.

Denver nie poruszył się. Usłyszał, jak Charlie uruchamia silnik skutera i odjeżdża. Nie podniósł oczu. Widział wciąż tę dziewczynę z promocji. Ten obraz nawiedzał go przez długie lata. Może już czas, by z tym skończyć.

Charlie się pakowała. Uznała, że ma tylko dwie możliwości: zostać w dolinie i stawić czoło detektywowi wynajętemu przez matkę lub gdzieś się na jakiś czas ukryć do czasu, aż minie niebezpieczeństwo.

Wakacje to nie taki głupi pomysł. Jeszcze nigdy nie zabrała Robbiego na dłuższą wycieczkę, a przecież ludzie wciąż podróżują. Jedni zwiedzają Europę, inni szukają wrażeń w Ameryce Południowej. Ona i Robbie mogliby pojechać. .. No właśnie, dokąd?

Może obetnie na krótko włosy, lub nawet je ufarbuje. Mogłaby też przebrać Robbiego za małą dziewczynkę. Oczywiście wyobraźni ujrzała syna w koronkowej sukience, szykownym kapelusiku i w białych lakierkach. Wybuchnęła głośnym śmiechem. To chyba niezbyt dobry pomysł.

Najlepiej będzie dojechać autobusem do Reno i tam przesiąść się na jakiś pociąg. Porządkując i segregując zabawki Robbiego, zaczęła nucić „Wyjdziesz z miasta, kochanie, nim będzie za późno”.

Udało jej się dzisiaj wrócić do domu tuż przed Robbiem. Gdy tylko jej syn pożegnał się z Howellami, oznajmiła mu, że ma dla niego jeszcze jedną niespodziankę. Jego mina świadczyła o tym, że z poprzedniej nie był zbyt zadowolony.

- Jedziemy na wycieczkę - powiedziała ze sztucznym ożywieniem. - Wyjeżdżamy tylko we dwoje. Idź i spakuj swoje rzeczy, kochanie.

- Na wycieczkę? - Oczy Robbiego zrobiły się ogromne.

- Dokąd?

Charlie zawahała się.

- Jeszcze nie jestem pewna. Może pojedźmy, gdzie nas oczy poniosą. Co ty na to?

Chłopczyk skinął głową, choć była pewna, że nie bardzo ją rozumiał.

- Idź lepiej do swojego pokoju i zdecyduj, co zabierasz. Jedna torba zabawek i jedna ubrań, dobrze?

- Dobrze. - Wychodząc z pokoju, powoli się odwrócił.

- Czy ten pan już sobie poszedł?

Charlie znieruchomiała na chwilę i poczuła nagły ucisk w sercu.

- Jaki pan?

- Ten Denver. Czy on już nie wróci?

Charlie spojrzała na syna, starając się przeniknąć jego myśli.

- Sądzę, że już nigdy nie wróci - odpowiedziała spokojnie.

Twarz Robbiego rozjaśniła się uśmiechem.

- To dobrze.



- Nie polubiłeś go? - zapytała Charlie.

Robbie w milczeniu pokiwał głową.

- To może i lepiej, że wszystko tak się skończyło - mruknęła pod nosem.

Przez chwilę zastanawiała się, czy tak jest rzeczywiście. Nagłe pojawienie się Denvera zburzyło jej dotychczasowy spokój. A co by się działo, gdyby zgodził się udawać jej męża? Samo wspomnienie chwili, gdy obejmował ją ramieniem, przypominało Charlie o dreszczu. Zrozumiała, że istnieje świat zmysłów, o którym do tej pory nie miała pojęcia. Po co w ogóle spotkała Denvera? Do tej pory świetnie sobie sama radziła. On obudził uczucia, o których zdążyła już zapomnieć i które zepchnęła do najgłębszych pokładów podświadomości.

Denver obudził w niej pożądanie. To słowo ją zaszokowało. Ale dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu? Przecież to było pożądanie, gorące i namiętne pragnienie mężczyzny. Denver rozbudził w niej kobietę, rozpałił ją, lecz zaraz potem odepchnął. I teraz ona musi sobie z tym poradzić. Czowała, że nie będzie to takie łatwe.

- Dziękuję ci, Denver - powiedziała zgryźliwie i wrzuciła do walizki kolejną stertę ubrań. - Bardzo ci dziękuję.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Denver nie mógł w żaden sposób uwolnić się od myśli o Charlie. Wciąż czuł jej obecność. Przyjechał w góry, by odpocząć i nabrać sił, a teraz jest o krok od ciężkiej depresji.

Czy są jakieś sposoby, by szybko i bezboleśnie zapomnieć o kobiecie? Nie był pewien. W tych sprawach miał niewielkie doświadczenie. Na ogół jego związki z kobietami trwały krótko. Oparte tylko na seksie, nie miały żadnego znaczenia. Co z oczu, to z serca. Tak zawsze postępował. Z jednym wyjątkiem. Ale to było dawno i Denver był wtedy innym mężczyzną, a raczej niedoświadczonym młokosem. Poza tym nie lubił rozpamiętywać przeszłości. Było, minęło i tyle.

Z Charlie jest inaczej. Jak zapomnieć o czymś, co nie zdążyło zaistnieć? To był problem, bo jak nazwać coś, co tylko unosiło się w powietrzu, jak... jak...

- Jak chmara komarów - mruknął pod nosem.

Tak, to było dobre porównanie. Komary są mało sympatyczne i bardzo krwiożercze.

I właśnie kiedy już się ucieszył, że zohydził sobie tę kobietę, doleciał go słodki, tajemniczy i ulotny zapach dzikich róż. Pachniały jak Charlie.

Jęknął. Musi się stąd wydostać, czymś się zająć, skierować myśli na inne tory. Łowienie ryb, to jest to. Pójdzie do miasteczka i kupi odpowiedni sprzęt.

Noga już go prawie nie bolała. Bez trudu zszedł na parking i wsiadł do samochodu. Jechał zakurzoną drogą. Gdy mijał wyciąg narciarski, zobaczył tablicę informującą, że obiekt wystawiony jest na sprzedaż. Ewentualnego nabywcę kuszo- no okazijną ceną. Jadąc dalej, zauważył sklep z alkoholami i małą restauracyjkę, w której prawdopodobnie pracowała Charlie. Po drugiej stronie ulicy stał duży, wielobranżowy sklep. Była to spora chata, która przez lata obrosła licznymi dobudówkami, nadal jednak zachowała wiejski charakter. Gdy wszedł do środka, zachwycił się urodą tego miejsca. Podziwiał stare, drewniane ludy, piękne belki zwieńczone rzeźbami wilczych łbów oraz stylowe zydle. Po chwili dole- ciał go strzępki rozmowy, która natychmiast przykuła jego uwagę.

- Proszę pana - mówił jowialny sprzedawca - gdyby tu była, ktoś na pewno by ją rozpoznał.

- No, wie pan - odpowiedział jego rozmówca - właśnie to wydaje mi się dziwne, że nikt niczego nie wie.

Denver zamarł. Dobrze znał ten głos.

- Niech pan posłucha. - Sprzedawca zaczynał tracić cier- pliwość. - Umieściłem to zdjęcie na wystawie, tak jak pan prosił. To nie moja wina, że nikt w okolicy nie zna tej dziew- czyny. Jeśli pomimo to odnajdzie ją pan tutaj, tym większa będzie pańska zasługa.

Przyjezdny musiał mieć dziś zły dzień, a jego stosunek do całego świata i bliźnich objawił się w następnych słowach:

- Znajdę ją, choćbym musiał wypuścić wodę z tych wszystkich parszywych jezior.

Sprzedawca sapnął z oburzenia.

- Osuszyć nasze jeziora?! Czy pan oszalał?

- No cóż - powiedział przyjezdny agresywnie. - Jej ro- dzina podejrzewa, że ona mogła popełnić samobójstwo.

Ostatecznie, czy nie byłaby to dobra reklama dla tych żalonych sadzawek?

Sprzedawca wypiął klatkę piersiową i poczerwieniał.

- Niech pan mnie nie prowokuje, bo...

Przyjezdny uspokajająco machnął ręką.

- Spokojnie, nie ma co się tak obrażać. Mam pewien trop. Wczoraj ktoś powiedział mi, że być może ta dziewczyna wieczorami pracuje w miejscowej restauracji. Mam zamiar to sprawdzić. Jeśli to fałszywy trop, będę szukał dalej. - Odsunął się od lady. - Proszę mnie zawiadomić, jeśli czegoś pan się dowie. Na odwrocie fotografii zapisałem swój numer telefonu.

Odwrócił się i skierował do wyjścia, a Denver przesunął się w cień, by nie zostać rozpoznany.

- Mark Harris - mruknął do siebie, obserwując, jak mężczyzna wsiada do samochodu.

Znał Harrisa od wielu lat, choć niezbyt dobrze. Był prywatnym detektywem z Los Angeles. Zajmował się odnajdywaniem dzieciaków z bogatych rodzin, które uciekły z domu, oraz zacierał ślady ich różnych wybryków. Denver kilkakrotnie się z nim zetknął podczas swojej pracy. A więc to jego pani Chandler wysłała tropem Charlie.

Podszedł do kontuaru.

- Czym mogę służyć? - zapytał sprzedawca, już uspokojony i życzliwie uśmiechnięty.

Denver uważnie zlustrował półki, a potem powiedział konspiracyjnie:

- Coś mi się wydaje, że gdyby pan się postarał, to mógłbym u pana kupić ręcznie zwijane, kubańskie cygara.

Mężczyzna spojrzął na niego badawczo i rozejrzał się wokół nerwowo.

- Skąd pan wie? - zapytał, zniżając głos. - Gdyby panu naprawdę zależało, znam pewien adres. Ale to kosztuje.

Wymienił bajątkową sumę, za którą czteroosobowa rodzina mogłaby spędzić przyjemny weekend. Denver jednak bez mrugnięcia okiem dyskretnie podał mu zwitek banknotów, a sprzedawca natychmiast zniknął na zapleczu. I o to chodziło.

Szybkim i pewnym ruchem zabrał zdjęcie Charlie i natychmiast schował je do kieszeni. Nikt tego nie zauważył. Gdy sprzedawca wrócił, Denver podziękował mu i natychmiast wyszedł ze sklepu. Z wahaniem spojrzął na metalowe pudełko. Nie był namiętym palaczem, ale skoro już tyle zapłacił... to podaruje je szefowi. Josh Hoya uwielbiał dobre cygara.

W bezpiecznej odległości od sklepu wyjął z kieszeni fotografię i uważnie się jej przyjrzał. Tak jak podejrzewał, że zdjęcia spoglądała na niego Charlie. Szybko rozejrzał się dookoła. Jakim cudem nikt jej nie rozpoznał? Przecież to była ona. A raczej Adrianna Charlyne Chandler. Czy wszyscy mają bielmo na oczach?

Po dłuższej chwili zrozumiał, dlaczego tak wiele osób nie dostrzegło podobieństwa. Młoda, okrągła twarz, misterna fryzurka. Ale największą różnicę Denver dostrzegł w wyrazie oczu. Dziewczyna na fotografii miała smutny, spłoszony wzrok. Natomiast dzisiaj Charlie promieniowała szczęściem, a w jej oczach tliły się iskierki.

Próbował sobie przypomnieć, jak to było, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Nie wyglądała wówczas na nieszczęśliwą, ale może coś umknęło jego uwagi. Wiedział tylko, że jest bogata i wyniosła, i że reprezentuje to wszystko, czego pragnął dla Gail... oraz że należała do tych kobiet, na które Denver mógł spoglądać tylko z oddali.

Powinien to wszystko przemyśleć jeszcze raz. Wprawdzie Mark Harris to idiota, ale detektyw z niego niegorszy. Cie-

szył się jednak dość dwuznaczną reputacją. To prawda, że na ogół osiągał swój cel, ale jego metody pozostawiały wiele do życzenia. Mówiąc wprost, często był na bakier z etyką zawodową. Nie wolno dopuścić, by Charlie stała się łatwym łupem dla bezzwzględnego detektywa.

Ale chwileczkę... w co on zamierza się wplątać? Musi zostawić Charlie samą sobie. Jeśli postąpi inaczej, nie będzie w stanie nad sobą zapanować. Już teraz czuł, że rodzi się w nim potężne uczucie. Widział je w oddali, podobne do wielkiej oceanicznej fali, zbliżającej się zza linii horyzontu. Niemał słyszał jej poszum. Jeśli nie ucieknie, wielka woda bezpowrotnie go zaleje. Nie wolno do tego dopuścić. Ale powinien chyba ostrzec Charlie, powiedzieć jej o nadciągającym niebezpieczeństwie. I tylko tyle wolno mu uczynić.

Charlie. Ponownie przyjrzał się zdjęciu i zatrzymał wzrok na jej smutnych oczach. Ta sama kobieta w nocy była w jego ramionach, przyjazna i ciepła. Co się wydarzyło przez te wszystkie lata, że tak bardzo się zmieniła?

Stał niezdecydowany na ulicy, obładowany sprzętem wędkarskim. Przyjechał tu, by odpocząć i nabrać sił. Chciał posiedzieć nad wodą, ponudzić się, a tu taka historia!

Minęło go dwóch chłopców. Usłyszał, jak jeden szeptał do drugiego:

- Popatrz, to jest tata Robbiego Smitha.

Chłopcy, przechodząc obok Denvera, wlepiali w niego oczy. Nie wyprowadził ich z błędu, a w sercu poczuł dziwny ucisk. Kto rozpuszczał takie bezsensowne plotki? Przyjrzał się swemu odbiciu w szybie wystawowej. Czy właśnie tak ludzie wyobrażali sobie ojca Robbiego?

Jęknął i odchylił głowę do tyłu. Ujrzał bezchmurne, błękitne niebo.

- Psiakrew! - wymamrotał i otrząsnął się. Wyprostował

ramiona i odwrócił się w kierunku restauracji, która była po drugiej stronie ulicy. Postanowił, że stawi temu czoło. Do diabła z nudnym wyciecznikiem. Pora zająć się tym, co potrafi najlepiej. Szkolono go, by zawsze potrafił wybrnąć z najbardziej skomplikowanych sytuacji.

Charlie wynosiła właśnie z domu ciężką walizkę i głowiła się, w jaki sposób przywiązać ją do skutera, kiedy Denver zajechał przed jej dom. Bez ruchu przyglądała się, jak wysiadał z samochodu. Promienie słońca oświetlały mu włosy i rozpały w jego oczach niezwykle iskry. Poczula dziwny, gorący dreszcz.

Zbliżając się do Charlie, ani przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Jej serce biło szybciej i szybciej.

- Przymocuj to z tyłu - powiedział głosem nie znoszącym sprzeciwu i wskazał na walizkę. - Czy masz chociaż porządny bagażnik?

Przytaknęła skinieniem głowy. Dotąd nie powiedziała ani słowa, nawet się z nim nie przywitała. W napięciu czekała, aż Denver wyjawi jej cel swojej wizyty.

- To dobrze. Spakuj się i wynośmy się stąd.

Skinął głową w kierunku gór.

- Może pokazałabyś mi okolice?

Charlie patrzyła na niego w milczeniu. To był ten sam mężczyzna, który nie zgodził się udawać jej męża choćby przez jeden dzień, a teraz zapraszał ją na wycieczkę?

- O czym ty mówisz? - zapytała wreszcie.

- O wspólnym wyjeździe. - Denver potrząsnął swymi szerokimi ramionami. - Wyjedźmy na kilka dni i odpocznijmy trochę.

Na twarzy Charlie pojawił się wyraz niekłamanego zdumienia.

- Ale...

- Znajdź kogoś, kto zająłby się Robbiem - powiedział szybko, uprzedzając jej oczywiste obiekcje.

Szybko potrząsnęła głową.

- Nie, nigdzie się bez Robbiego nie ruszę.

Denver zawahał się. Wolałby pojechać tylko z Charlie. Dzieci to niewyczerpane źródło kłopotów. No i Robbie opóźniałby podróż. Ale w spojrzeniu Charlie wyczytał, że będzie głucha na wszelkie argumenty.

- No dobrze. Jego rzeczy. Musimy wyjechać stąd jak najszybciej - powiedział z rezygnacją.

Patrzyła na niego zdumiona.

- Posłuchaj - powiedziała spokojnie. - Wyskoczyłeś jak diabeł z pudełka i zaczynasz mi rozkazywać. O co chodzi? Dlaczego mam z tobą gdzieś jechać? Dlaczego mam ci zaufać?

Denver wyciągnął z kieszeni zdjęcie i pokazał jej.

- Znalazłem je w sklepie. To ty, prawda?

Charlie szeroko otworzyła oczy i skinęła głową. Głos uwiązał jej w gardle. W pierwszym odruchu chciała się odwrócić i uciec. Tylko dokąd? Więc czekała w napięciu, z trudem łapiąc oddech.

- Miałaś rację, ktoś cię ściga - powiedział, chowając zdjęcie do kieszeni. - Znam tego faceta. Jest dobry. Na pewno cię dopadnie. O ile ja ci nie pomogę. - Charlie spojrzała szybko na jego samochód, ale on odczytał jej myśli. - To kiepski pomysł, bo on będzie przede wszystkim obserwował drogi, a ma wielu informatorów. Kiedy już raz złapie trop, to nie popuści. Nie wymkniesz mu się.

Charlie patrzyła na niego bezradnie. Stał przed nią, wysoki i silny. Jego barczyste ramiona przesłaniały horyzont. Był jej jedyną nadzieją.



- A więc co mam zrobić? - zapytała.

- Ukryć się w górach. Po kilku dniach ten facet pomyśli że jednak mu się wymknęłaś, i zajmie się innym dobrze płatnym zleceniem. To nie rozwiąże sprawy, ale zyskasz trochę czasu, by zastanowić się, co robić dalej.

Charlie zamarła w bezruchu, szukając wzrokiem jego spojrzenia. Denver z każdą chwilą wydawał się jej silniejszy, wyższy, twardszy. Czy powinna zdać się na niego?

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała, jakby Denver zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Sądząc po tym, co o nim wiedziała, może naprawdę tak było.

W odpowiedzi skinął tylko głową.

- Znam tego faceta i jego metody. Uwierz mi. Powiedział to w taki sposób, jakby przekazywał oczywistą prawdę.

Łatwo powiedzieć, ale trudniej zrobić. Charlie wiedziała że nie mieli dużo czasu. Dotychczas jedynym mężczyzną któremu naiwnie wierzyła, był Jeff, ale ten nieustannie ją zawodził. A oto teraz stał przed nią Denver, silny i pewny siebie, przekonany, że powinna mu zaufać i powierzyć los, swój i Robbiego.

Zaczęła nerwowo się przechadzać. Wreszcie zatrzymała się, chwyciła Denvera za połą marynarki i przyciągnęła go do siebie. Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pocałuj mnie - zażądała. Jej oczy lśniły niezwykłym blaskiem. - Natychmiast.

Nie wahał się ani chwili. Ich rozpalone wargi połączyły się.

- Dobrze - powiedziała, odsuwając się z westchnieniem - Pójdę dokończyć pakowania.

Patrzył, jak znikwała w domu i otarł usta wierzchem dłoni jakby chciał zniszczyć ślad tego, co wydarzyło się przed

chwila. Charlie zażądała pocałunku, a on ochoczo na to przystał. Do diabła! Tak naprawdę pragnął o wiele więcej. Nie ma żadnych wątpliwości. Ale nie powinien dopuszczać do takich sytuacji.

- Koniec z tym! Nie o to w tym wszystkim chodzi - mruknął do siebie.

Ale wiedział, że się okłamuje. Przecież właśnie o to chodziło. Najwyższy czas, by się z tym pogodził.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na cztery godziny przed zmierzchem Denver, Charlie i Robbie wyruszyli w drogę. Najpierw jechali samochodem, a potem szli pieszo, wybierając krętą ścieżkę, która miała ich zaprowadzić nad krystalicznie czyste jeziora, nad wartkie potoki wypływające ze lśniących skał, w nieprzebyte sosnowe lasy.

- Czy jesteś pewien, że wiesz, co robimy? - zapytała Charlie, gdy pakowali rzeczy do samochodu. - Dokąd naprawdę zmierzamy?

Do szaleństwa! To była odpowiedź, której się spodziewała. Zamiast tego usłyszała tylko:

- Nie martw się. Rozmawiałem z kilkoma osobami. Dobrze wiem, dokąd należy iść.

- Ale nie masz zamiaru podzielić się ze mną tą wiedzą? - zapytała zdumiona.

Denver skrzywił się, czym utwierdził ją w jej podejrzeniu.

- Dowiesz się we właściwym czasie. Ale jeżeli tak bardzo chcesz wiedzieć, to idziemy tam. - Wyciągnął z kieszeni mapę. - Sama się przekonaj. Powinniśmy tam dotrzeć jutro po południu. Czeka nas około dziesięciu godzin wędrówki.

- A co z twoim kolanem? - zapytała Charlie, rozkładając mapę. - Nie podolasz chyba takiej wspinaczce,

- Nie martw się o mnie. Powiem ci, kiedy będę musiał odpocząć. - Palcem wskazał na mapie wybraną przez siebie trasę. - To dość łatwy szlak. Nie ma tam zbyt dużych różnic

wzniesień, aż do tego punktu. Pokonywałem już trudniejsze trasy.

Charlie odchyliła głowę i spojrzała na niego.

- Jesteś bardzo tajemniczy. Któregoś dnia będziesz mi musiał wszystko opowiedzieć o swoich niesamowitych przygodach.

Zdumiony Denver spojrzał jej prosto w oczy, a jego wzrok zapowiadał, że ten dzień kiedyś nastąpi. Nie byli zwykłymi znajomymi czy przyjaciółmi. Denver nie wiedział, kim staną się dla siebie w przyszłości i nie chciał wiedzieć. Ale był pewien, że już nigdy nie zapomni tej przygody.

Charlie zadzwoniła do Erniego i poprosiła go o urlop. Zgodził się tak skwapliwie, że nawet nabrała pewnych podejrzeń. Ale cóż innego mogło się w tym kryć poza jego naturalną życzliwością?

- Weź kilka puszek gulaszu wołowego - odpowiedział Denver, gdy Charlie zapytała, co zabrać do jedzenia. - Wspañiale smakuje w dzikiej głuszy.

Charlie nikomu nie powiedziała, dokąd wyjeżdżają. Nie miała pojęcia, jak długo zostaną w górach i co będzie potem. Wyruszyli w drogę i tylko to się liczyło. Tuż po podjęciu decyzji poczuła ulgę i niecierpliwie czekała na wymarsz. Chciała iść bardzo szybko, by za sobą zostawić wszystkie kłopoty. Poczuć chłodne powietrze, znaleźć się jak najdalej od ludzi. Miała tyle spraw do przemyślenia. Pragnęła wolności i przestrzeni.

Górska ścieżka prowadziła ich w coraz dziksze okolice. Chociaż były to strony znane Charlie, Denver wiedział, że nie umie ona dobrze chodzić po górach i że to on będzie musiał wszystkiego dopilnować. Odpowiadało mu to. Czuł się w swoim żywiole.

Obejrzał się do tyłu i spojrzał na Robbiego. W wielkich

buciorach, obarczony plecakiem, wyglądał jak miniatura dorosłego mężczyzny. Sabrina karnie szła przy boku chłopca. Również Charlie dźwigała plecak. Przez cały czas bacznie obserwowała syna, sprawdzając, jak sobie radzi. Denver skinął głową, a ona odpowiedziała mu tak pięknym uśmiechem, że natychmiast zapomniał o bolącym kolanie. Wziął głęboki oddech, zastanawiając się, dlaczego, idąc w nieznaną, czuje się tak fantastycznie. Może był po prostu głupcem? Ale jeśli nawet nim był, to musiał przyznać, że ten stan ducha miewa czasami swoje zalety.

Charlie nie miała pojęcia, jakie uczucia miotają Denverem, ale czego się domyślała. Coś między nimi zaiskrzyło. Powinna się tego obawiać, ale nie potrafiła. Jeszcze nie w tej chwili. Było jej po prostu dobrze. Nie rozumiała pobudek,, jakimi Denver się kierował, ale dziękowała losowi, że ten mężczyzna zaopiekował się nią.

Nigdy dotąd nie chodziła po górach. Wychowała się w San Francisco. Kiedy Denver zaproponował tę wyprawę, doznała olśnienia. Oczywiście, wszyscy prawdziwi uciekinierzy ukrywają się przecież w górach.

Robbie początkowo trochę protestował. Sam pomysł wycieczki bardzo mu się podobał, lecz drażniło go towarzystwo Denvera.

- Powiedziałeś, że poszedł sobie na dobre - przypomniał, kiedy Charlie wtajemniczyła go w szczegóły.

- Myliłam się. Właśnie wrócił.

Robbie gwałtownie rzucił się na łóżko i zaczął walić piętami w ścianę.

- Po co on z nami idzie?! - wykrzykiwał.

Charlie usiadła obok synka i pogładziła go po włosach.

- Nie lubisz Denvera?

Chłopczyk potrząsnął głową, zaś Charlie starym sposo-

bem próbowała go uspokoić, robiąc dziwaczne miny. Robbie ze wszystkich sił próbował się nie roześmiać, ale gdy mama zrobiła zeza, nie mógł się dłużej powstrzymać i zachichotał. Natychmiast jednak przybrał kamienny wyraz twarzy.

Charlie westchnęła i poddała się.

- Robbie, on jest naszym przyjacielem. Nie musisz robić niczego specjalnego, po prostu bądź grzeczny. Nie będę tolerować arogancji, rozumiesz?

Robbie zrozumiał, choć nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego. Gdy jednak ruszyli na szlak, natychmiast zapomniał o złym humorze. Był podekscytowany przygodą.

- Czy zobaczymy niedźwiedzia? - zapytał Denvera, a jego niebieskie oczy czujnie obserwowały okolice.

- Nie, jeśli on zobaczy nas pierwszy – zażartował Denver.

Robbie roześmiał się, zanim sobie przypomniał, że nie lubi tego pana. A gdy Denver pokazał chłopcu, jak należy nosić plecak, by nie wrzynał się w ramiona, wyraz niezadowolenia i buntu na dobre zniknął z twarzy Robbiego.

Przez jakiś czas szli obok siebie. Na jeden krok Denvera wypadały trzy kroki malca, który jednak dzielnie się starał, by nie zostawać w tyle. Po chwili Robbie spojrzął w górę na wysokiego mężczyznę i postanowił rozpocząć pogawędkę.

- Denver, czy masz broń?

- Dlaczego pytasz? Czy tata Billy'ego ma broń?

- Mhm.

Denver zacisnął usta, a jego oczy załśniły.

- A to ci niespodzianka!

- Jest policjantem - wyjaśnił Robbie.

- Ach, tak. Nie wiedziałem.

Robbie ponownie na niego spojrzął, wyraźnie zadowolony.

- Czy ty też jesteś policjantem?

Denver zawahał się.

- Niezupełnie.
- Mam zamiar nauczyć się strzelać - powiedział Robbie i nagle podskoczył, wyraźnie czymś olśniony. - Mieszkamy przecież w lesie, więc muszę być przygotowany na wszystko.

Denver zaśmiał się łagodnie, zdaniem chłopca zbyt łagodnie.

- Czy twoja mama o tym wie? - zapytał.

Robbie potrząsnął zdecydowanie głową.

- Nie, i nie mam zamiaru jej o tym mówić.
- Myślę, że powinieneś - poradził mu Denver.
- Bo jest moją mamą? - Robbie zmarszczył nos.
- Waśnie dlatego.

Chłopiec ciężko westchnął.

- No dobra, powiem jej. - I zapytał z powagą: - Czy miałaś mamę?

Denver skinął.

- Wszyscy je mają - odpowiedział z przekonaniem.

Robbie zamyślił się.

- Ale nie wszyscy mają tatusiów - powiedział wreszcie i zanucił: - „Nie każdy ma tatę, nie każdy ma tatę!” – po czym pobiegł, by odszukać Sabrinę.

Robbie i pies pobiegli przodem, wznecając tumany kurzu, tak jakby chcieli szybko sprawdzić, co jest za następnym wzniesieniem.

- Niezła z nich para, prawda? - zauważył Denver, patrząc na małego chłopca szybko przebiegającego nogami i olbrzymią Sabrinę, która z wywieszonym językiem pędziła obok niego.

- Tak - powiedziała Charlie. - Chwilami wydaje mi się, że ci dwoje mają swój własny świat.

- Jesteś zazdrosna? - zapytał Denver, spoglądając ukradkiem na jej opromienioną słońcem twarz.

- Nie, nic podobnego - odpowiedziała ze śmiechem. - Uwielbiam te chwile, gdy Robbie jest szczęśliwy.

Denver poprawił plecak i nie patrząc na nią, zapytał:

- A co z tobą, Charlie? Co ciebie uszczęśliwia?

Na chwilę zamilkła. W ciągu ostatniej doby wydarzyło się coś, co mogłoby zmienić jej poglądy na temat szczęścia. Zduśliła to jednak w sobie i odpowiedziała jak dawna Charlie:

- Moim szczęściem jest Robbie. To mój największy skarb. - Spojrzała szybko na Denvera. - Niczego więcej mi nie trzeba - stwierdziła z naciskiem.

- Naprawdę?

Była pewna, że odkrył jej tajemnicę. Obawiała się tego. Nie chciała, by się zorientował, jak bardzo zaczyna jej na nim zależeć.

Ale nawet jeżeli wyczytał to wszystko w jej oczach, nie dał tego po sobie poznać. Uśmiechnął się i pokazał jej gniazdo orła. Czar przysł.

Lecz Charlie zrozumiała coś bardzo ważnego. Będą się z Denverem kochać. Wcześniej lub później, ale na pewno do tego dojdzie. Była przerażona, jak szybko rosło w niej uczucie do tego mężczyzny. Doświadczenia wyniesione z małżeńskiego łoża wciąż tkwiły w niej jak zadra. Nie chciała, by to samo wydarzyło się między nią a Denverem. Jednak wiedziała, że nic jej powstrzyma.

Szli teraz po bardziej kamienistym gruncie. Minęli wznieślenie i zaczęli schodzić. Robbie i Sabrina pobiegli jeszcze szybciej. Krzyki chłopca i szczekanie psa dobiegały z coraz większej oddali, co zaniepokoiło Charlie.

- Robbie, poczekaj! - zawołała głośno, lecz Denver w uspokajającym geście położył dłoń na jej ramieniu.



- Zostaw go, to dziecko, musi się sprawdzić.

Charlie spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co ty powiesz? Od kiedy to znasz się na wychowywaniu dzieci? - zapytała niemal niegrzecznie.

Denver wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Po prostu to czuję.
- Po namyśle jednak dodał: - Też kiedyś byłem małym chłopcem.

Oślaniając oczy przed słońcem, Charlie wypatrywała syna i przyspieszyła kroku.

- Ale tam mogą być grzechotniki, kojoty lub pумы - powiedziała z obawą.
- Albo twój syn może się przewrócić i obetrzeć sobie kolana, co nauczy go, żeby nie zbiegać ze zbrocza - odpowiedział natychmiast. - Powinien uczyć się na własnych błędach.

Charlie przygryzła wargi.

- O ile nie są to śmiertelnie niebezpieczne błędy - mruknęła.
- Oczywiście - odpowiedział Denver. - Nasza rola polega na tym, by do nich nie dopuścić.

Nie przekonał jej do końca. Robbie całe życie był tylko z matką. Wprawdzie rozumieli się doskonale, ale był chłopcem i Charlie chwilami chciałyby mieć u swego boku mężczyznę, który pomógłby jej zrozumieć niektóre zachowania syna. Tym razem postanowiła poskromić swoje opiekuńcze instynkty.

Po dwóch godzinach marszu Denvera zaczęło boleć kolano, musiał więc odpocząć. Znalazł miejsce przy strumieniu, w cieniu ogromnej, starej sekwoi. Porażony bólem ostrożnie usiadł na ziemi i przymknął oczy.

- Jest niedobrze - powiedziała Charlie z troską w głosie.

Zrzuciła plecak i usiadła obok niego. - Nie możesz tak forsować nogi, bo nabawisz się trwałej kontuzji. - Rozejrzała się dookoła. - Możemy tu zostać - zaproponowała. - Nikt nas tu nie będzie szukał.

Denver otworzył oczy i powiedział z uśmiechem:

- Nic z tego, Charlie. Chwilę odpocznę i ruszamy dalej. Mamy wytyczony cel i musimy tam dotrzeć.

Charlie spojrzała na niego zaintrygowana.

- Już mi to mówiłeś, ale nadal nie wiem, dokąd właściwie idziemy.

Denver westchnął.

- Tak będzie lepiej. Poczekaj, a sama się przekonasz.

Spojrzała na niego zrezygnowana i zmieniła temat. Denver pomyślał, że Charlie bardziej jest podekscytowana samą wędrówką niż celem, do którego zacierają. Zachwycała się urodą gór, wiatrem kołyszącym wierzchołkami dostojnych drzew, szumem potoku i krystalicznie czystym powietrzem. Popołudniowe światło kładło się cieniem na jej twarzy, a wiatr rozwiewał niesforne kosmyki włosów. Była najpiękniejszą kobietą, jaką Denver kiedykolwiek widział. Zawsze była taka, lecz teraz odkrył w niej nowe cechy, których przedtem nie dostrzegał. Dobroć i serdeczność uszlachetniały jej urodę, przydawały jej niezwyklego blasku.

Ocknął się. Cholera, co się z nim dzieje? Jeśli nie będzie się miał na bacności, gotów się jeszcze zakochać lub zrobić coś równie głupiego i niebezpiecznego.

Charlie chyba zauważyła zmianę jego nastroju, bo odwróciła się w jego stronę.

- Dlaczego z nami poszedłeś? Dlaczego zmieniłeś zdanie?

To był ostatni temat, na który Denver chciałby rozmawiać, co więcej, nawet nie chciał myśleć o motywach swojego

postępowania. Lecz siedział tu jak zwierzę w potrzasku. Poruszył się niespokojnie. Z harmideru, jaki Robbie i Sabrina czynili nad potokiem, wywnioskował, że są na tyle daleko, iż chłopak nie usłyszy ich rozmowy. Mógł więc bez obaw mówić to wszystko, co chciał powiedzieć, jednak wahał się.

- Czy to ma coś wspólnego z Gail?

Mówiąc to, Charlie zdjęła opaskę i jej włosy swobodnie rozwiały się na wietrze.

- Gail? - powtórzył zdumiony Denver. - O co ci chodzi?

- Wydaje mi się, że wy dwoje staliście się sobie obcy - powiedziała Charlie, przeczesując włosy palcami. - Pamiętam, jak się o nią zawsze troszczyłeś. - Uśmiechnęła się do niego ciepło, a Denver poczuł skurcz w sercu. - Byłeś najbardziej kochającym bratem.

Zdecydowanie potrząsnął głową.

- Nie chcę rozmawiać o Gail.

Charlie nachyliła się nad nim, a jej włosy delikatnie musnęły jego twarz.

- Myślałam, że coś próbujesz sobie udowodnić. Że dlatego się mną zaopiekowałeś, ponieważ...

Wyprostował się, ich twarze dzieliły tylko centymetry.

- To szaleństwo! - By nie patrzeć Charlie w oczy, skupił wzrok na jej ustach. - Nie próbuj ze mną psychoanalizy, bo to się nie uda.

- Nie? Chcesz powiedzieć, że nagle się zmieniłeś i w jednej chwili stałeś się opiekuńczym facetem?

Patrzył na nią długą chwilę, aż wreszcie wstał. Charlie uczyniła to samo. Byli bardzo blisko siebie. Czuł ciepło jej ciała. Wystarczyło tylko wyciągnąć dłoń...

- Nie rób ze mnie kogoś, kim nie jestem, Charlie - ostrzegł ją wreszcie. - Nie jestem święty.

- Nie? - Patrzyła na niego przez chwilę, a później, ku

jego zaskoczeniu, pogładziła go po policzku. - Kim więc jesteś?

Była zbyt blisko, miała zbyt jasne włosy i zbyt piękne ciało. Kusicielka. Czy naprawdę nie wie, jak bardzo go prowokuje? Ktoś powinien ją ostrzec. Być może właśnie on powinien to uczynić.

Pod wpływem nagłego impulsu schwycił ją za włosy. Delikatnym, ale stanowczym gestem ujął jej głowę.

- Prawdopodobnie jestem najbardziej twardym, szorstkim i skrytym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałaś, Charlie - powiedział niskim, gardłowym głosem. - Nie lekceważ moich słów.

Chciał ją przestraszyć, przekonać, że jest człowiekiem niebezpiecznym, z którym nie powinna się nigdy wiązać. Jednak gdy ujrzał wyraz jej oczu, gdy poczuł dotyk jej skóry, zrozumiał, że przegrał.

- Traktuję poważnie to, co mówisz - odpowiedziała łagodnie. W jej głosie brzmiało narastające wzruszenie. - Nigdy nie traktowałam nikogo równie poważnie od chwili...

Denvera opanowała nie wyjaśniona, lecz przemożna chęć, by Charlie przestała mówić. Instykt podszeptął mu jedyny sposób, by to osiągnąć. Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie był pewien, czy ona tego chce, ale Charlie wtuliła się do niego i oboje zadrżeli. Oplótł ją ramionami i przycisnął do siebie, by mogła się przekonać, jak bardzo jest pożądana. Musiała zrozumieć, że to nie jest zwykła gra.

- Nie - wyszeptwała, spoglądając przez ramię w kierunku potoku, gdzie bawił się jej syn. - Nie możemy zapominać o Robbiem.

Zręcznie wysunęła się z jego ramion.

- Hej, Denver! - Robbie wyrwał z zarośli. - Chodź tutaj! Szybko! Znalazłem małe żabki!

Denver spojrział na Charlie, lecz ona unikała jego wzroku. Zrezygnowany westchnął i poszedł podziwiać znalezisko Robbiego. Przez chwilę rozmawiał z chłopcem, ale cały czas zerkał na jego matkę, która siedziała nieruchomo, jakby zasłuchana w szum wiatru.

Powinniśmy porozmawiać o tym pocałunku, uznał, gdy znów ruszyli w drogę. Nie możemy się dotykać, bo każde muśnięcie wyzwała w nas gwałtowne emocje. Zaśmiał się. A niech to, i tak do tego by doszło, dobrze o tym wiedział. Pragnął tej kobiety, a ona pragnęła jego i żadna rozmowa tego nie zmieni.

Trzeba było pomóc tym dwojgu się spakować i pomachać im na pożegnanie. Dlaczego nie siedzi teraz w swoim samochodzie i nie pędzi przed siebie na złamanie karku? Powinien zadzwonić do centrali i poprosić o szczególnie niebezpieczne zlecenie, które zaprzątnęłoby jego umysł bez reszty. Ale nie mógł tego zrobić. I na pewno nie zrobi. Niech się dzieje, co chce.

I może tak będzie lepiej. Być może jedna noc z Charlie obedrze ją z tajemniczości i magnetycznej siły. A on uspokoi się i uwolni od wieloletniej obsesji na jej punkcie.

Miał taką nadzieję. Ludzie jednak powiadają, że nadzieja jest matką głupich.

Słońce schowało się za góry i zerwał się zimny wiatr. Było jeszcze widno, ale temperatura spadała bardzo szybko i zmęczenie dawało im się wszystkim we znaki.

- Coś ci powiem - powiedziała nagle Charlie. - Na kolację zjemy gulasz. Muszę pozbyć się kilku puszek, bo są potwornie ciężkie.

Kilka minut później znaleźli dobre miejsce na rozbicie obozu. Myjąc się w strumieniu, Charlie z niedowierzaniem

przyglądała się własnemu odbiciu. Dlaczego jest taka szczęśliwa? Przecież ucieka, zostawiła pracę i przyjaciół, pozabawiła syna szkoły i wszystkiego, co znał i kochał. W dodatku towarzyszy im mężczyzna, który najwyraźniej nie lubi dzieci.

Chociaż nie była tego tak do końca pewna, albowiem stosunek Denvera do Robbiego uległ widocznej zmianie. Nie wiedziała, czy Denver tak postępuje, by sprawić jej przyjemność, czy też naprawdę zaczyna lubić jej syna. Ale nie miało to w tej chwili większego znaczenia. Odnosił się przyjaźnie do Robbiego i tylko to było ważne. Myślami powróciła do niedawnej rozmowy.

- Wiem, że nie chcesz o tym mówić - powiedziała wówczas - ale naprawdę chciałabym wiedzieć, co się dzieje z Gail. Nie miałam od niej żadnej wiadomości, od kiedy opuściłam dom. Jeżeli coś się jej stało... Byłyśmy kiedyś przyjaciółkami...

Długo milczał i Charlie straciła nadzieję, że czeokolwiek się dowie. I właśnie gdy zamierzała ponowić pytanie, Denver skrzywił się i zaczął mówić.

- Nie jest ani chora, ani martwa, ani skrzywdzona przez los - odpowiedział krótko. - Wybrała życie, którego ja nie mogę zaakceptować, i nie chcę o tym dłużej rozmawiać.

Przez głowę Charlie przemknęły setki domysłów. Gail była miłą, wesołą, dobrą dziewczyną. Co mogła zrobić, żeby pękła więź łącząca ją z bratem? Przecież byli sobie tacy bliscy. Gail zawsze pędziła do telefonu, by podzielić się z Denverem dobrymi nowinami. Jego opinia była dla niej najważniejsza.

Z zamyślenia wyrwał ją hałas. Robbie i Sabrina stanęli za jej plecami. Charlie odwróciła się z uśmiechem i podrapała sukę za uchem.

- Wiesz co? - z dumą oznajmił Robbie. - Denver nauczył mnie, jak się rozpała ognisko.

Oczy chłopca lśniły tak mocno, że Charlie chciało się śmiać, ale udało się jej zachować powagę.

- Phi, też cię mogę tego nauczyć. Wystarczy wziąć pudełko zapalek...

- Mamo! - Na twarzy Robbiego pojawił się wyraz niekłamanego oburzenia. - To nie tak! To trzeba robić po indiańsku, za pomocą drewniaków.

- Aha, rozumiem. A więc osiągnięcia cywilizacji nie są dla was wystarczająco dobre.

Robbie wznosił do nieba swoje wielkie, błękitne oczy.

- Mamo, musisz się nauczyć prawidłowo rozpałać ogień. Możesz przecież zgubić się w lesie, i co wtedy?

- Oczywiście - opowiedziała ze śmiechem i odwróciła się w kierunku Denvera, zajętego przygotowywaniem noclegu. - Jak mogłam o tym nie pomyśleć.

Denver zaimponował jej cierpliwością, z jaką uczył Robbiego krzesać ogień. Po wielu nieudanych próbach zrezygnowali i wyciągnęli zapalki. Charlie próbowała zachować powagę, ale swoim rozbawieniem zaraziła wszystkich. Wybuchnęli śmiechem. Po chwili w dobrych humorach zasiedli do kolacji. Nastrój radosnej bez troski unosił się nad ich obozowiskiem. Charlie pragnęła zachować tę chwilę jak droższy skarb.

Denver zauważył, że Robbie nieustannie na niego zerka, co trochę go zdeprimowało. Dlaczego ten dzieciak bardziej zajmuje się nim niż jedzeniem? Ale nagle zrozumiał, o co małemu chodzi. Chłopiec naśladował go we wszystkim, identycznie trzymał widelec, a od czasu do czasu z poważną miną wpatrywał się w ogień. Nawet tak samo siedział. Denver spozjrzał na Robbiego innymi oczami. Nigdy dla nikogo

nie był wzorem, a teraz zrozumiał, że to wielka odpowiedzialność. Musi bardziej uważać na to, co mówi i robi, nie wolno mu bowiem przekazać chłopcu żadnych złych nawyków. To poważna sprawa. Poczł się dumny.

Charlie ze skrywaną radością przypatrywała się tej scenie. Denver zaczynał lubić Robbiego. Widziała to i była zadowolona. Jeżeli zakocha się w tym mężczyźnie...

Później, gdy myła naczynia w potoku, synek przyszedł jej pomóc. Gdy wycierał talerze, zaskoczył ją pytaniem:

- Mamo - powiedział cicho, zamierając z talerzem w dłoni - czy Denver jest moim prawdziwym tatą?

Charlie wypuściła z rąk aluminiowy kociołek i odwróciła się w stronę syna. Wzięła go za ramiona, by dobrze widzieć jego twarz.

- Nie, Robbie - powiedziała, hamując emocje. - Skąd ci to przyszło do głowy?

W świetle księżycy ujrzała jego wzrok.

- Wczoraj, gdy odbierałaś mnie ze szkoły, powiedziałaś, że masz dla mnie niespodziankę. Pomyślałem, że może masz dla mnie prezent, który chciałem dostać na urodziny.

Charlie przytuliła go.

- Nigdy nie mówiłaś mi, że na urodziny chcesz dostać tatę - powiedziała ze smutkiem.

- Ale chciałem.

- Robbie, posłuchaj...

- A później zobaczyłem Denvera. Ale on mi powiedział, że nie ma syna. I nie lubił mnie. Dlatego domyśliłem się, że on nie jest moim tatą.

Charlie ciężko westchnęła.

- Robbie, Denver cię bardzo lubi. Po prostu nie jest przyzwyczajony do dzieci. Nie wiedział, jak z tobą rozmawiać, ale idzie mu coraz lepiej, musisz to przyznać.



Robbie spojrział na nią i zmarszczył nos.

- A czy mógłby zostać moim tatą?
- Twój ojciec umarł, zanim się urodziłeś.

Chłopiec zagryzł wargi i zwiesił głowę.

- I nigdy już nie wróci? Tak?

Charlie przytuliła syna.

- Nie, Robbie, on już nigdy nie wróci.

We wzroku Robbiego pojawiły się smutek i powaga.

- A więc nigdy nie będę miał taty? Nigdy?
- Robbie, kochanie...

Głos się jej załamał. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła mu niczego obiecywać. Ale nie mogła też ignorować pragnień chłopca i udawać, że samotni, tylko we dwoje, będą zawsze szczęśliwi. Nigdy przedtem nie rozumiała, jak głęboka i naturalna jest dla dziecka potrzeba posiadania ojca.

- Charlie! - Odwróciła się i zobaczyła Denvera. Ile usłyszał? Sądząc z wyrazu jego twarzy, chyba wystarczająco dużo.
- Charlie, pozwól porozmawiać mi z Robbiem w cztery oczy - powiedział łagodnie.

Spojrzała na syna.

- Po co? - zapytała z wahaniem.

To był jej syn i tylko ona była powołana do tego, by pomagać mu w trudnych chwilach. Jakim prawem miałby ją w tym wyręczać prawie obcy mężczyzna?

- Muszę mu zdradzić pewien sekret.

Denver spojrział wymownie na chłopca.

- O czym ty mówisz? - nerwowo zapytała Charlie.

Przez chwilę patrzył na nią nieustępliwie, aż wreszcie ujął jej dłoń i delikatnie ją ucałował.

- Nie martw się - powiedział miękko. - Nie zrobię nic złego.

Charlie kurczowo ścisnęła jego rękę.

- Słowa mogą zranić - ostrzegła go, pełna lęku.
- Wiem o tym, nie bój się.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Charlie gorączkowo starała się przeniknąć jego myśli. Robbie był dla niej najważniejszy. Czy jeśli teraz uwierzy Denverowi, powinna również zaufać mu w innych sprawach? Na przykład - powierzyć mu swe serce?

Ale to w tej chwili nie ma znaczenia. Liczy się tylko jej syn i jego niepokoje. Jeśli Denver potrafi pomóc Robbiemu, będzie to następny powód, by go pokochać.

- Dobrze - odpowiedziała drżącym głosem. - Pójdę i wyjmę śpiwory.

Denver skinął głową i poczekał, aż Charlie odejdzie. Ruszyła szybkim krokiem, jakby obawiała się, że przestraszy się i zmieni zdanie. Przez chwilę ją obserwował, a później usiadł obok chłopca.

- Robbie - zaczął z powagą - słyszałem część twojej rozmowy z mamą i pomyślałem, że już czas, by powiedzieć o Tajnym Klubie Ojców. Czy kiedyś o nim słyszałeś?

- Tajny Klub Ojców? - Robbie z rozmarzeniem powtórzył słowa Denvera - Nigdy o nim nie słyszałem.

- Cóż, członkowie tego klubu są dyskretni. Zdradzają swoją tajemnicę tylko dzieciom, które potrzebują pomocy.

Robbie szeroko otworzył oczy i zapytał:

- A jakie to dzieci?

- Właśnie takie jak ty, które nie mają ojców.

Robbie otworzył szeroko usta i ze zdumieniem spojrział na Denvera.

- Naprawdę jest taki klub? - zapytał piskliwym głosem. Denver uśmiechnął się do niego.

- Oczywiście. Należą do niego ojcowie z całego świata. A czasami mężczyźni tacy jak ja, którzy nie mają własnych

dzieci. Gdy się jest w klubie, trzeba uważnie wypatrywać dzieci, które nie mają taty.

- Naprawdę? - Robbie był tak zdziwiony, że Denver z trudem powstrzymał uśmiech.

- Oczywiście. Wówczas należy stać się tajnym ojcem dla niego... lub dla niej. To dotyczy również dziewczynek. One też tego potrzebują. Wiedziałeś o tym?

Robbie potrząsnął głową.

- Nie miałem pojęcia - przyznał szczerze.

- Ale tak jest. Za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna będzie dla ciebie miły albo zachowa się jak twój tata, to już będziesz wiedział, że na pewno należy do klubu.

- A co oni robią?

Denver wzruszył ramionami.

- A co chciałbyś robić z tatą?

Robbie namyślał się przez chwilę.

- Chciałbym z nim chodzić w góry. I żeby nauczył mnie różnych rzeczy. I chciałbym z nim grać w piłkę. I może mógłby...

Robbie głęboko się zamyślił.

- Walczyć z gorylem? - podpowiedział Denver.

Robbie potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć tę myśl.

- Nie, wiem, że to była bujda.

- To dobrze, ponieważ członkowie klubu takich rzeczy nie robią.

Robbie ze zrozumieniem skinął głową.

- Może mógłby mnie nauczyć strzelać? - powiedział z nadzieją w głosie, zerkając na Denvera.

Denver zakrztusił się.

- Tylko wtedy, gdybyś był na tyle odważny, by porozmawiać o tym z mamą.

Ale Robbie był niewzruszony.

- Czemu nie? Porozmawiam z nią.  
- No, nie wiem. Ale musisz zrozumieć jeszcze jedną rzecz. Że członkowie tego klubu nie są prawdziwymi ojcami tych dzieci i nie mogą stale z nimi być. Co o tym myślisz? Podoba ci się to?

Robbie zastanowił się, a na jego twarzy malowały się sprzeczne emocje.

- Podoba mi się - powiedział wreszcie. - Możemy spróbować.

- Wspaniale. - Denver wyciągnął dłoń i potrząsnął małą rączką chłopca. - Umowa stoi. A teraz chodźmy pomóc mamie.

Chłopiec zerwał się i szybko pobiegł w kierunku obozowiska. Zamyślony Denver pomału szedł za nim. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, by zbyt mocno nie wiązał się z Robbiem. Ale szybko odrzucił tę myśl. Są ważniejsze rzeczy niż święty spokój. A jedną z nich jest opiekowanie się małym chłopcem.

Jego wewnętrzny głos zamilkł na dobre i tej nocy nie odezwał się już ani razu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Było późno. Ognisko powoli dogasało i tylko pojedyncze iskierki tajemniczo błyskały w popiele. Robbie już zasnął, szczelnie opatulony śpiworem, a Sabrina ogrzewała mu plecy. Denver również wsunął się w śpiwór, lecz sen nie przychodził. Patrzył na wierzchołki olbrzymich sosen, które poruszały się na wietrze, i wsłuchiwał się w tajemniczą melodię nocy. Obsesyjnie myślał o Charlie, która leżała tuż obok. Jednak dla niego była nieosiągalna. Pragnął tej kobiety i była to naturalna, biologiczna potrzeba. Wiedział jednak, że nie wolno mu się z nikim wiązać.

- Poradzisz sobie - szepnął do siebie z przekonaniem, lecz w tej właśnie chwili usłyszał westchnienie. Uniósł głowę w kierunku Charlie. Napotkał jej żywe spojrzenie i uśmiechnął się. - Nie możesz zasnąć? - wyszeptał.

Potrząsnęła głową.

Delikatnie pogłaskał jej dłoń.

- Dziś w nocy będzie deszcz meteorytów. Poszukajmy na niebie spadających gwiazd.

Z uśmiechem skinęła głową i wstała. Wciąż była ubrana w sweter i džinsy. Spojrzała na śpiącego i spokojnie oddychającego syna. Sabrina podniosła łeb, jakby chciała zapewnić, że jest na posterunku. Charlie z Denverem wspięli się na wzgórze, aż doszli do miejsca, gdzie drzewa nie przesłaniały nieba. Było tyle gwiazd, że ich blask niemal oślepił.

- Czy to dzieje się naprawdę, czy ja śnię? - szepnęła Charlie w zachwycie.

- To nie sen - zapewnił ją Denver. - Wyciągnij tylko rękę, a zdejmiesz gwiazdę z nieba.

Położyli się na ziemi. Każde z nich skoncentrowało uwagę na innym obszarze firmamentu. Leżeli blisko siebie, stykali się ramionami i głowami.

W milczeniu wpatrywali się w niebo, ale Charlie trudno się było skupić. Czuła bliskość Denvera, słyszała jego oddech. Nagle schwycił jej dłoń i wskazał na niebo.

- Tam! - powiedział. - Widziałas?

- Gdzie?

Próbowała patrzeć we wskazanym kierunku, ale ciepło jego dłoni rozpraszało ją. Na chwilę zamknęła oczy i nie zobaczyła spadającej gwiazdy.

- Obserwuj zawsze ten sam fragment nieba, a wtedy na pewno coś zobaczysz. - Denver zacisnął mocniej rękę na jej dłoni. - Widzisz?

Zaśmiała się niskim, gardłowym głosem.

- Nie - przyznała, odwracając twarz, by na niego spojrzeć, a jej ciało przeszły miły dreszcz.

Ale Denver wciąż patrzył na niebo.

- Spójrz tam, obok Wielkiej Niedźwiedzicy...

- Dobrze - odpowiedziała, ale wciąż wpatrywała się w jego profil. Po raz pierwszy spostrzegła, że Denver jest bardzo przystojnym mężczyzną. Podziwiała jego mocno zarysowany podbródek, kształtny nos i bujne włosy.

- Hej, gdzie ty patrzysz, wszystko przegapisz.

Złapać spadającą gwiazdę, tego właśnie pragnęła. Tylko że ta gwiazda lśniła nie na wysokim niebie, ale tuż obok.

- Dobrze - powiedziała posłusznie i zwróciła wzrok w stronę nieba.

Mimo wysiłków nie udało się jej niczego wypatrzeć. Natomiast Denver co chwila wskazywał następną spadającą gwiazdę.

- Denver, to niesprawiedliwe! Wszystkie gwiazdy spadają po twojej stronie nieba. Zamieńmy się miejscami.

Denver roześmiał się.

- No dobrze. - Wskazał na niebo. - Moje są te na lewo od Małej Niedźwiedzicy.

- Nic się nie dzieje - marudziła Charlie, ale znalazła sposób, jak być jeszcze bliżej Denvera.

- Spójrz tam, Charlie.

- Och! - wykrzyknęła zawiedziona. - Gdzie?

- Nie widzisz? Tam nad tobą.

- Widzę! - krzyknęła wreszcie, uradowana. - Jaka piękna.

Nie mogę w to uwierzyć. Następna!

Niebo nagle wypełniło się spadającymi gwiazdami. Charlie była zachwycona. Zapomniała o wszystkim i podnosiła co chwila rękę, jakby chciała którąś schwycić.

- Denver, spójrz!

Ale on wpatrywał się w Charlie. Odwróciła się i napotkała jego spojrzenie. Wiedziała, że właśnie wskoczyli do rwącej rzeki, której nurt znosi ich w niewiadomym kierunku.

W pierwszym impulsie chciała pobiec do obozowiska, uciec od Denvera i wspomnień, od ryzyka, jakie niesie z sobą miłość. Ale wtedy poczuła na policzku jego dłoń. Przyłgnęła do niej, musnęła ją wargami. I nagle wszystko stało się proste i naturalne. Wtuliła się w jego ramiona i przyciągnęła go bliżej. Pragnęła poczuć ciepło jego twardego, męskiego ciała i wyzwolić jego pożądanie.

Denver całował ją delikatnie, jakby chciał poznać jej smak i odkryć najskrytsze tajemnice. Zamknęła oczy i poddała się temu. Odkrywaj mnie, poznawaj, mówiła całą sobą. Tylko

mnie pokochaj, a będziesz we mnie czytał jak w otwartej księdze.

Przestał całować usta i musnął jej skroń. Usłyszał nieme wołanie Charlie. Nie był jednak pewien, czy jest zdolna przyjąć wszystkie następstwa tej chwili.

- Charlie - szepnął jej łagodnie do ucha - jeśli chcesz się wycofać, to lepiej zrób to teraz, ponieważ...

- Wiem - odpowiedziała i wczepiła palce w jego włosy. Ogarnęło ją drżenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. - Wiem.

Nie chciała się wycofać. Nienawidziła seksu z Jeffem, nienawidziła czekania, aż on skończy to, co zdawało się sprawiać mu egoistyczną satysfakcję. Przede wszystkim pamiętała gorące i długie prysznicze, którymi zmywała wspomnienia małżeńskich nocy. Pocałunki i pieszczoty męża nigdy jej nie sprawiały przyjemności, nie wiedziała, co to pożądanie. Ale gdy spotkała Denvera, zrozumiała, że prawdziwa namiętność nie jest tylko wymysłem autorów kliwych romansów. Że istnieje również w prawdziwym życiu.

Dłoń Denvera doprowadzała jej ciało do słodkiego szaleństwa. Gdy wziął ją w ramiona, obudziła się z wieloletniego letargu. Odkryła na nowo swoje zmysły.

Czy to była miłość? A może po prostu w ten sposób zareagowała na urok przystojnego mężczyzny? Nie była pewna.

Ale w jednej chwili wszystko to stało się nieważne. Denver włożył ręce pod jej sweter i podciągnął go do góry. Jej nagie piersi owiał chłodny wiatr. Gdy gorącymi wargami przywarł do jej sutek, krzyknęła w uniesieniu. Z dziką namiętnością zapragnęła tych wszystkich doznań, które nigdy nie były jej dane. Poczuli się wolna i nieokiełznana.

W świetle księżycy, nadzy, zmierzali do spełnienia. Char-



lie, złączona w jedno ciało z Denverem, unoszona jego potężną męską siłą, z bolesną niecierpliwością czekała na coś, czego jeszcze nigdy nie zaznała. I wreszcie - dokonało się. Jej ekstatyczny krzyk poszybował nad wierzchołkami gór.

Pragnęła to uczucie zatrzymać, napawać się nim jak najdłużej. Później długo leżała w milczeniu, z zamkniętymi oczyma. Czuła się lekka, niemal bezcielesna. Gdyby ta chwila nigdy już miała się nie powtórzyć, i tak byłaby szczęśliwa. Wreszcie poznała, co to jest miłość.

- Spadająca gwiazda - cichutko szepnęła.

- Co takiego?

Denver uniósł się na łokciu i spojrział na nią błyszczącymi oczami.

- Nic - odpowiedziała, gładząc go po twarzy.

Lepiej milczeć, bo słowa i tak nie oddadzą jej uczuć.

Chciała wyryc je w swoich wspomnieniach, dopóki nie będzie absolutnie pewna, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Dłoń Denvera pieściła jej nagie ciało, wprawiając je w ponowne drżenie. Zdziwiona, wstrzymała oddech. Uświadomiła sobie, że znów zmierzają ku spełnieniu. Denver roześmiał się.

- Kto by pomyślał, że tak nagle staniesz się kobietą rozwiązań - zamruczał i obsypał ją pocałunkami. - Zostańmy tu na całą noc, będziemy kochać się, kochać i kochać.

Powstrzymała jego rękę.

- Nie - powiedziała z żalem. - Niestety, muszę wrócić do Robbiego.

- Wiem - odpowiedział. Spojrział jej głęboko w oczy i zapytał: - Co naprawdę stało się z ojcem Robbiego?

Charlie przeniknął zimny dreszcz. Sięgnęła po ubranie. Dlaczego Denver o to pyta? Dlaczego robi to w takiej chwili? No tak, miał do tego prawo. Po tym, co się między nimi

zdarzyło. I tak kiedyś musiałaby mu o tym opowiedzieć, dlaczego więc nie teraz?

- Stało się to, co powiedziałam Robbiemu. Przecież nie okłamałabym mojego syna. Jeff umarł, zanim urodził się Robbie. - Rzuciła Denverowi szybkie spojrzenie. - Ale gdy uciekałam z San Francisco, jeszcze żył.

Na chwilę zapadła cisza. Charlie nie była pewna, czy Denver rozważy to, co przed chwilą usłyszał, czy też zamierza zadać jej następne, trudniejsze pytania. Nie będzie łatwo wytłumaczyć takiemu mężczyźnie jak Denver, jak doszło do jej małżeństwa. Jej rodzina miała pieniądze, a rodzina Jeff'a znane nazwisko, dlatego zdecydowano o ich ślubie. I nikt nie pytał o miłość.

- Dlaczego uciekałeś? - zapytał Denver. - Czy on...

- Nie, nie bił mnie ani nie krzywdził. Uciekałam, bo nie mogłam już dłużej wytrzymać.

Denver milczał, a ona miała nadzieję, że nie będzie dalej zgłębiał tajemnic jej małżeństwa. Chciała zapomnieć o tych smutnych i samotnych dniach.

- A więc twój mąż nie żyje. Jak do tego doszło? - zapytał wreszcie.

To pytanie było łatwe.

- Wypadek motocyklowy. Jeff lubił szybkie pojazdy i łatwe kobiety. - Uśmiechnęła się na wspomnienie samotnych, przeplakanych nocy. Miała nadzieję, że nie wyczuł w jej tonie goryczy. O śmierci męża dowiedziała się z gazety, którą ktoś przyniósł do restauracji. Potrząsnęła głową. - Zawsze ostrzegałam go, że wreszcie jakiś zakręt okaże się za ostry. I tak też się stało.

Denver spojrzął na nią uważnie. Chciał się przekonać, czy mówi szczerze, czy też ukrywa jakieś głębsze uczucia. Jej oczy powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć. Jeżeli

nawet kiedykolwiek kochała ojca Robbiego, to dzisiaj nie miało to już żadnego znaczenia.

- Jeff od dawna nie żyje, dlaczego więc nadal ukrywasz się przed matką?

- Moja matka,.. - Charlie uniosła głowę i spróbowała się uśmiechnąć. - Moja matka władała niepodzielnie moim życiem, a w każdym razie starała się to robić.

Denver pamiętał panią Chandler jak przez mgłę. Była postawna, wyniosła kobietą, przypominającą królową Wiktorię. Łatwo mógł ją sobie wyobrazić podczas polowań na lisy i eleganckich przyjęć. Niemal widział, jak majestatycznie przepływa wśród tłumu gości, dyskretnie dyrygując służbą. Charlie wychowała się w takim świecie i powinna czuć się w nim dobrze.

- Dlaczego od niej uciekaś?

Charlie milczała. Nie wiedziała, jak Denverowi wytłumaczyć przeżycia samotnej i wrażliwej dziewczyny, zdominowanej przez apodyktyczną matkę.

Dla postronnego obserwatora jej rodzina prezentowała się wspaniale. Ojciec był zapracowanym bankierem, który do odziedziczonej fortuny dołożył nowe miliony. Matka wywodziła się z niższych sfer, ale przez całe życie walczyła o to, by wszyscy o tym zapomnieli. Rodzice dawali Charlie to, czego tylko zapragnęła. Wiedziała, że wielu ludzi jej zazdrości. Ale nikt nie przypuszczał, ile bezsennych nocy przepłakała, bo znowu okazało się, że swoim postępowaniem naraziła się na gniew ojca i krytykę matki.

- Urodziłam się chyba w nieodpowiedniej rodzinie - przerwała wreszcie milczenie. - Próbowałam być taką, jaką chcieli mnie widzieć. Ale wciąż ponosiłam na tym polu porażki.

- Rozumiem - powiedział spokojnie. - Ale jeżeli cię nie skrzywdzili...

Charlie wybuchnęła śmiechem.

- Powiedziałaś ci przecież, że słowa mogą boleśnie ranić. Wiem to z własnego doświadczenia.

Denver poruszył się niespokojnie.

- Może powinnaś jednak wrócić i przekonać się, jak jest teraz. Długo byłaś poza domem i wiele mogło się zmienić.

Na myśl o powrocie do rodziny Charlie skrzywiła się.

- Nie mogę tam wrócić. Tę część mego życia uważam za zamkniętą.

Denver nic nie odpowiedział. Charlie westchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Denver, proszę, na dzisiaj już wystarczy tej spowiedzi.

- Wstała. - Muszę wracać do Robbiego. Sabrina jest wspaniałą nianią, ale to tylko pies. Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się Piotruś Pan i porwie mojego małego chłopca.

Denver obserwował, jak Charlie odchodzi, a później wstał. Właśnie zrobił coś, czego obiecał sobie nigdy nie robić. Życie nauczyło go, że najczęściej tracimy osoby, na których nam najbardziej zależy. Nagle odezwał się w nim ponownie instynkt samozachowawczy.

Zabawne, ale niespecjalnie się tym przejął. Może to pierwsze oznaki starości?

A może chodzi o coś zupełnie innego?

Nie. Byłby idiotą, gdyby na to liczył. Musi okiełznać swoje uczucia, bo jeszcze chwila, a stanie się ich niewolnikiem.

Pomoże Charlie i Robbiemu wybrnąć z opresji, a później pójdzie w swoją stronę, nie oglądając się za siebie. Tak musi być.

Charlie niespokojnie wierciła się w śpiworze. Nie mogła zasnąć. Dręczyły ją liczne pytania, związane z Denverem.

Jak ma się jutro zachować? Czy udawać, że nic sienie stało? Chyba powinna się wystrzegać wszelkich gestów i słów, które sugerowałyby, że ich znajomość przekształciła się w coś poważniejszego.

Gdy wreszcie zasnęła, nawiedził ją przedziwny sen. Śniła, że próbuje schwycić spadającą gwiazdę, która nieustannie wymyka się jej z rąk. Nagle spostrzegła, że na gwieździe siedzi Denver i szyderczo śmieje się z nieudolnych prób Charlie.

Gdy się obudziła, zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem tego snu. Przecież nie zamierzała zdobywać Denvera za wszelką cenę, zresztą i tak by się jej to pewnie nie udało. Był samotnym wilkiem, mężczyzną, który nade wszystko cenił wolność. A poza tym...

Musi myśleć o Róbbiem. Denver w widoczny sposób polubił jej syna, ale ta więź nie powinna przekraczać pewnych granic. Nie wolno jej narażać syna na bolesne rozczarowania. Chłopiec potrzebuje ojca, a nie przypadkowych wujków, którzy pojawiają się i znikają. Zawsze unikała takich sytuacji i teraz również nie popełni tego błędu tylko dlatego, że jest zakochana.

- Miłość - szepnęła, starając się dotrzeć do najgłębszego znaczenia tego słowa. To takie cudowne uczucie. Chciałaby zatrzymać je w sobie na zawsze.

Lecz jej marzenia szybko się rozwiały. Denver wstał o świcie i wyglądał jak chmura gradowa. Podczas śniadania starannie unikał jej wzroku. Czyżby żałował tego, co stało się tej nocy? Jak on śmie! Zalała ją fala złości. Czy on nie widzi, że oddała mu całą siebie? Czy dla niego to nic nie znaczy?

Wreszcie spotkali się twarzą w twarz, gdy zwiłali obóz. Denver spojrział w jej fiołkowe oczy i nerwowo zamrugał powiekami.

- Nie powinniśmy do tego dopuścić - powiedział krótko i szybko odwrócił wzrok.

- Masz rację - odparła, usiłując zachować spokój.

- To się już więcej nie powtórzy - oświadczył z oczyma wbitymi w ziemię i szybko odszedł.

- Mylisz się - szepnęła gniewnie, lecz on już tego nie usłyszał.

Charlie odzyskała równowagę dopiero wtedy, gdy ruszyli w drogę. Bo przecież cóż dla Denvera mogła znaczyć ta wspólna noc? Z pewnością przeżył mnóstwo przygód i zdobył setki kobiet. Jedna więcej, jedna mniej, jakie to ma dla niego znaczenie? Skąd mógł wiedzieć, że dla niej stał się kimś wyjątkowym?

Już przed pierwszym postojem Charlie popadła w stan głębokiej depresji. Robbie i Sabrina pobiegli nad rzekę, a ona i Denver usiedli w cieniu ogromnej sekwoi. Długo milczeli. Wreszcie Charlie położyła dłoń na jego ramieniu i powiedziała:

- Denver...

Odskoczył od niej jak oparzony. Lecz Charlie była pewna, że jej dotyk wprawił jego ciało w drżenie. Nie była mu więc obojętna. Ze zdumienia głos uwiązł jej w gardle.

Myślała, że Denver wstanie i odejdzie. Lecz stało się inaczej. Spojrzał jej głęboko w oczy i gwałtownie ją przyciągnął do siebie. Nim zrozumiała, co się dzieje, ich usta złączyły się w dzikim, namiętym pocałunku. Denver całował tak, jakby pragnął ją o czymś przekonać... a może chciał przekonać samego siebie?

Pocałunek był krótki. Denver szybko odsunął się i poszedł nad rzekę do Robbiego. Oszołomiona Charlie długo nie mogła dojść do siebie. Zamknęła oczy i położyła dłoń na rozpalonych wargach. Jak ma przekonać tego mężczyznę o swojej miłości?

Gdy ruszyli w dalszą drogę, Denver znów ją ignorował, ale Charlie tym razem nie przejmowała się tym. Była już pewna, że on wciąż o niej myśli. Że pragnie znów ją pocałować i marzy o tym, by się z nią kochać. Powietrze naelektryzowane było wzajemnym pożądaniem. Czuła się lekka jak piórko i przepelniona szczęściem. Jak pięknie być zakochaną! Ptaki śpiewają głośniejsz, niebo jest bardziej błękitne, a woda krystalicznie czysta.

Zakochana... jeszcze niedawno to słowo budziło w niej lęk. A teraz napawało ją szczęściem.

Zatrzymali się na polanie. Robbie potrzebował tylko pół minuty, by odpocząć, i natychmiast zaczął biegać. Jednak nawet Sabrina była zbyt zmęczona, by mu towarzyszyć. Z westchnieniem ulgi padła na ziemię, wtuliła pysk w łapy i natychmiast zasnęła. Szumiały drzewa, upojnie pachniała trawa.

Charlie zupełnie opadła z sił. Dzień był skwarny i wspinaaczka zaczęła się jej dawać mocno we znaki. Jeszcze bardziej wyczerpywały ją nieustanne rozważania o Denverze. Wiedziała, że nie zostanie z nią długo. Musi więc porozmawiać z nim o wszystkim, dopóki ma jeszcze taką szansę. Na pewno będzie unikał takich rozmów, ale Charlie była bardzo zdeterminowana. Odwróciła się do niego z wysoko uniesioną głową.

- Powiedz mi coś, Denver. Dlaczego tak bardzo nie lubisz kobiet?

Spojrzał na nią zdumiony.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Uwielbiam kobiety.

- Nieprawda - odpowiedziała zdecydowanie.

Wzruszył ramionami. Przez jego twarz przemknął grymas zniecierpliwienia.

- No dobrze, widzę, że i tak wiesz lepiej. Dlaczego więc uważasz, że nie lubię kobiet?

Bacznie mu się przyjrzała.

- Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Jesteś samotny i nie wspomniałeś o żadnej kobiecie, która byłaby dla ciebie ważna. Nie pozwalasz mi się do ciebie zbliżyć, odpychasz mnie. Nawet Gail...

Na twarzy Denvera pojawił się wyraz gniewu.

- Co ma z tym wspólnego moja siostra?  
Charlie próbowała uchwycić jego spojrzenie.

- Pamiętam, jak bardzo Gail cię kochała.  
Denver nerwowo potarł brodę i odwrócił wzrok.

- Nie chcę rozmawiać o Gail.

Lecz Charlie nie zważała na jego słowa.

- Przez cały czas o tobie mówiła. Byłeś dla niej wszystkim, ojcem, bratem, najlepszym przyjacielem. - Przerwała z obawy, że posunęła się zbyt daleko. Jednak wyraz twarzy Denvera przekonał ją, że uważnie jej słuchał. Mówiła więc dalej. - Pamiętasz ciasteczka, które ci posyłała?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Masz na myśli te zakalcowate okropieństwa?  
Charlie roześmiała się, zadowolona, że Denver się rozpogodził.

- Tak, o nie właśnie chodzi. Piekłyśmy je wszystkie razem wieczorami, plotkując i wygłupiając się.

Denver z trudem stłumił śmiech.

- Służyły mi jako przyciski do papierów. Nawet po trzech latach wciąż wyglądały tak samo.

Charlie roześmiała się, a po chwili stwierdziła:

- Gail bardzo cię kochała. Denver, co się między wami wydarzyło?

Milczał tak długo, że Charlie straciła nadzieję, że jej odpowie. Aż wreszcie odrzekł cicho:

- Gail była całym moim życiem. Po śmierci naszych ro-



dziców mieliśmy tylko siebie i swoje marzenia. Pracowaliśmy bardzo ciężko, by je zrealizować. Zarabiałem pieniądze by opłacać jej naukę w najlepszych szkołach, a Gail osiągała dobre wyniki. Tworzyliśmy zespół, wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy.

- Wiem - odpowiedziała wzruszona Charlie. - Gail opowiadała mi o wszystkim. Chciała pójść do szkoły medycznej...  
Twarz Denvera rozjaśniła się.

- Widzisz, nawet ty o tym wiesz! Naprawdę tego pragnęła Charlie skinęła głową.

- No cóż - mówił dalej Denver - ale potem spotkała tego... - Zamilkł, a Charlie wyczuła, że miał ochotę bardzo dosadnie określić tego „kogoś”. - Spotkała Ricky'ego - kontynuował spokojniejszym tonem. - Miał długie włosy, tatuaże, motocykl i gitarę.

A więc o to chodzi. Charlie głęboko westchnęła. Zawsze to samo.

- Zakochała się?

Denver spojrzał na nią z ironią.

- Ricky ją opętał. Jak mogła pokochać takie zero! Dziewczyna taka jak Gail... - Jego głos na chwilę się załamał, a po chwili Denver powiedział wzburzony: - Uciekła z nim. Zmarnowała sobie życie! Zniszczyła nasze marzenia, wyrzuciła je na śmietnik. Wykreśliłem Gail z mojego życia.

Charlie poczuła ból w sercu. Ale dzięki tej historii zaczęła lepiej rozumieć Denvera. Poświęcił się, by zapewnić siostrze przyszłość, a gdy ona zdeptała jego marzenia, poczuł się zdradzony. Być może dlatego nie wierzył w prawdziwe związki między ludźmi i wątpił w szczerą miłość.

- Czy Gail próbowała się z tobą...

Twarz Denvera ponownie stężała.

- Charlie, naprawdę nie chcę o tym rozmawiać. Powiedziałem ci już, co się stało. O nic więcej nie pytaj.

Charlie ugryzła się w język i z ociąganiem ruszyła za Denverem, który zarządził wymarsz. Przynurzała sobie w duchu, że zrobi wszystko, by pogodzić zwaśnione rodzeństwo.

Przypomniało się jej stare przysłowie: najłatwiej zranić tych, których kochamy. Dopiero teraz rozumiała je w pełni.

- Święta prawda - szepnęła do siebie.

Po godzinnej wspinaczce dotarli do strumienia. Obmyli twarze i napili się wody. Denver rozejrzał się po okolicy, następnie wyjął mapę i przez chwilę uważnie ją studiował.

- Zostańcie tutaj z Robbiem i odpocznijcie. Może byśmy też coś zjedli? Mam zamiar trochę się rozejrzeć. Jeżeli nie zabłądziliśmy, to wkrótce będziemy na miejscu. Zobaczę, co jest za tym wzgórzem.

- A co tam powinno być? - zapytała Charlie, ale była zbyt zmęczona, by ją to naprawdę obchodziło.

- Miejsce, do którego zmierzamy - odpowiedział Denver, uśmiechając się. Tak naprawdę nie było żadnego powodu, by nie zdradzić jej celu ich wędrówki, ale nie mógł sobie odmówić droczenia się z Charlie.

Przejrzała jego grę i westchnęła. Było jej obojętne, dokąd zmierzają, wiedziała bowiem, że gdy już dotrą do celu, ta wspaniała przygoda się zakończy.

Denver zniknął za wzniesieniem, a Sabrina pobiegła za nim. Charlie i Robbie usiedli i, ukołysani szumem strumienia, zapadli w sen. Nie była pewna, jak długo spała, gdy nagle coś ją obudziło. Podeszła do plecaka, by wyjąć chusteczkę - i wtedy go zobaczyła.

Olbrzymi, brunatny niedźwiedź powoli zbliżał się do obozowiska. Poruszał się majestatycznie, jakby był panem tych gór i chciał sprawdzić, kto ośmielił się wdrzeć do jego kró-

lestwa. Krzyk narastał w jej gardle, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Spojrzała szybko na Robbiego, nie wiedząc, czy powinna go obudzić, czy też pozostawić śpiącego w nadziei, że zwierzę go nie zauważy. Niedźwiedź zatrzymał się, uniósł łeb i zaczął węszyć. Charlie wydawało się, że patrzy prosto na nią.

Była tak przerażona, że słyszała bicie własnego serca. Nie mogła uciekać. Wiedziała też, że nie zdoła dostatecznie szybko wdrapać się na drzewo. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma broni. Pod wpływem impulsu sięgnęła do plecaka i natrafiła na puszkę z gulaszem wołowym. Niedźwiedź podchodził coraz bliżej. Jedno pacnięcie olbrzymiej łapy i...

Jestem dla niego tylko kawałkiem mięsa, pomyślała, patrząc w jego zimne, nieprzyjazne ślepia.

Zwierzę szybko się z nią rozprawi, a później zauważy Robbiego.

Tylko nie Robbie! Wściekłość przeważała nad strachem i Charlie zamierzyła się puszką w niedźwiedzia.

- Wynoś się! - krzyknęła. - Precz stąd albo tym w siebie rzucę! - pogroziła.

Niedźwiedź potrząsnął łbem i nagle podniósł się na tylne łapy. Stał przed nią, wielki, przerażający swoją siłą i ogromem.

- Idź sobie! - krzyknęła ponownie Charlie, a później z całą mocą cisnęła puszką, celując w łeb potwora.

Puszka wylądowała prosto na niedźwiedzim nosie. Zwierzę cofnęło się i ryknęło, zaskoczone niespodziewanym atakiem. Charlie wstrzymała oddech. Nie miała pojęcia, co robi, gdy zostanie zaatakowana. Zdawało się, że brunatna bestia przez całą wieczność zastanawia się, co ma uczynić. Wreszcie odwróciła się i, gniewnie pomrukując, zniknęła w zaroślach.

Długo patrzyła w ślad za zwierzęciem, z trudem łapiąc

oddech. Wygrała. Stawiła czoło niedźwiedziowi i przegoniła go! Nie mogła w to uwierzyć.

Równie zdumiony był Denver, gdy Charlie opowiedziała mu ze wszystkimi szczegółami swój ą przygodę.

- Powstrzymałaś niedźwiedzia puszką wołowiny?! - potarzał w kółko, patrząc na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. - Mój Boże, musiałaś być bardzo zdesperowana.

Charlie była z siebie niesłychanie dumna. Robbie był zły, że przespał taką niezwykłą przygodę, musiał jednak przyznać, że jego mama jest fantastyczna. Zjedli lunch, ze śmiechem komentując całe zajście. Denver powiedział im, że za kilka godzin dotrą do celu.

- Czy nie moglibyśmy powąłęsać się jeszcze przez kilka dni? - zapytała Charlie z nadzieją w głosie.

- I dalej tkwić w tym piekle? - zdziwił się Denver.

- Dla ciebie ta wędrówka jest piekłem?

Charlie była wyraźnie zdumiona.

- Owszem - mruknął, a jego oczy pociemniały. - Chcę, żeby już było po wszystkim.

- Co ci tak doskwiera?

Zawahał się, a później dotknął jej złotych włosów.

- To piekło być tak blisko ciebie - powiedział cicho, by nie usłyszał go Robbie. - Jesteś przy mnie przez cały czas, a ja nie mogę cię dotknąć. Nie powinienem do tego dopuścić - dodał i odwrócił się.

- Do czego? - zapytała bez tchu.

Głęboko spojrzał jej w oczy.

- By cię tak pragnąć - wyszeptał.

Charlie odwróciła wzrok. Czy tylko o to mu chodziło?

Czy jej naprawdę pragnął? A może po prostu...

- Jeżeli tylko tego ci brakuje - powiedziała wprost - to

na pewno jest wiele dziewcząt, które z radością się tobą zajmą.

Nagle Denver przyciągnął ją do siebie.

- Nie chcę żadnych innych kobiet. Pragnę tylko ciebie.

Wiedziała, że tak jest, że Denver nie kłamie.

- Nie musisz się zachowywać tak, jakby to było jakieś przekleństwo losu.

Wypuścił ją z ramion i melancholijnie się uśmiechnął.

- Byłem całkowicie szczęśliwym facetem, dopóki nie spotkałem ciebie na swojej drodze.

- A teraz uważasz, że jesteś godny pożałowania?

- Cholera, tak właśnie myślę! - powiedział głośno, nie zważając, że właśnie podbiegł do nich Robbie.

Charlie spojrzała na niego groźnie.

- Żadnego przeklinania - przypomniała mu przez zaciśnięte zęby.

- Nie martw się, już niedługo uwolnię cię od mojej osoby i od moich przekleństw.

Odwrócił się i ruszył w drogę.

Charlie patrzyła na niego i zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby zamiast Jeffa poślubiła Denvera.

Jej matka nie pozwoliłaby na to. Wybrała dla niej Jeffa, gdy Charlie miała dziesięć lat.

Lepiej nie porównywać rzeczywistości z marzeniami.

Wtedy życie jest o wiele prostsze.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po dwóch godzinach dotarli do miejsca przeznaczenia. Charlie była bardzo zaskoczona. Spodziewała się ujrzeć opuszczoną, prymitywną chatkę trapera. Zamiast tego ujrzała piękny, zadbanej dom, wypielęgnowany ogród, kurnik i zagrodę dla kozy. Z komina unosił się dym. Trudno sobie wyobrazić bardziej przytulne miejsce.

- To dom Goldie - powiedział Denver, gdy podchodzili do drzwi.

- Dom Goldie? Chyba sobie żartujesz.

- Znasz ją? - zapytał Denver.

- Oczywiście. Przyjaźnimy się. - Charlie z wahaniem przystanęła na schodach. - Ale co ona sobie o nas pomyśli? Nie wypada tak bez uprzedzenia...

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazała się Goldie.

- Dlaczego tak późno? Czekam na was od lunchu.

Charlie ze śmiechem zapytała:

- Spodziewałaś się nas?

Goldie prychnęła niecierpliwie.

- Ernie do mnie zadzwonił. Mam przecież telefon komórkowy.

- To Ernie też wie? - Charlie spojrzała badawczo na Denvera. - Jak się dowiedział?

- Rozmawiałem z nim - odpowiedział szybko Denver.

- Właściwie wszyscy w miasteczku wiedzieli o naszej wy-

prawie. - Z uśmiechem potrząsnął głową. - Naprawdę myśla-  
łaś, że nikt cię nie rozpoznał na tych fotografiach?

- Co takiego? - Charlie nie wierzyła własnym uszom. -

O czym ty mówisz?

- Wszyscy wiedzieli, że chodzi o ciebie, i wszyscy chcieli  
ci pomóc. - Roześmiał się. - Ci ludzie cię kochają.

- Naprawdę? - szepnęła, kompletnie zaskoczona.

- Oczywiście. Nie mieli pojęcia, kto i po co cię szuka, ale  
postanowili bronić swojej Charlie przed tym natrętnym de-  
tektywem. Jak sądzisz, od kogo mam tak dokładną mapę tej  
okolicy? To nie był mój pomysł. Ernie przedyskutował tę  
sprawę z innymi ludźmi z miasteczka. Wszyscy uznali, że  
u Goldie będziesz bezpieczna.

- Coś takiego! - Charlie bezwładnie osunęła się na krzesło  
i ukradkiem otarła łzy wzruszenia. Tak często czuła się sa-  
motna, a okazało się, że miała wokół siebie prawdziwych  
przyjaciół. - Kocham ich wszystkich.

Denver obserwował ją. Widział, jak bardzo jest poruszona,  
i sam doznał podobnego uczucia. Do tej pory lekcewał  
takie pojęcia jak rodzina, sąsiedzi i przyjaciele. Ale teraz te  
słowa nagle stały się dla niego ważne.

- Charlie, pomogłaś wielu ludziom - mówiła Goldie,  
krzątając się po domu. - Chcemy, żebyś wiedziała, ile dla nas  
znacysz.

- Dziękuję, że przyjęłaś nas pod swój dach... - zaczęła  
mówić Charlie, ale Goldie tylko machnęła ręką.

- Chyba nie mówisz poważnie. Cieszę się z waszego to-  
warzystwa. Lubię mieszkać tutaj sama, ale dobrze jest czasa-  
mi mieć wokół siebie przyjazne dusze. Możecie tu wszyscy  
zostać tak długo, jak tylko chcecie.

Goldie okazała się wspaniałą kucharką. Po obiedzie wy-  
szli do ogrodu, gdzie opowiedziała im mnóstwo ciekawych

historyjek dotyczących jej ukochanych gryzoni. Były to susły. Ich liczne zdjęcia i rysunki porzucane były po całym domu.

- One są bardzo śmieszne - powiedział Robbie.

Goldie poczuła się dotknięta.

- Śmieszne? Nic podobnego. Kiedy je lepiej poznasz, zmienisz zdanie. Mam podziemne stanowisko obserwacyjne. Zamontowałam specjalną szybę i będziesz mógł zobaczyć, jak naprawdę wygląda ich życie.

- Coś takiego jak mrówcza farma? - zapytał chłopiec, a Goldie potwierdziła jego przypuszczenie.

- Dlaczego zajmujesz się tymi zwierzątkami? Dlaczego mieszkasz na takim odludziu? Nie czujesz się tu samotna?

- pytała Charlie.

- Nigdy - odpowiedziała Goldie. - Zajmuję się susłami przede wszystkim dlatego, że nie są ludźmi.

- Nie lubisz ludzi?

- Ano nie. Nigdy ich nie ma, gdy ich najbardziej potrzebujesz. - Potrząsnęła ze smutkiem głową. - Co innego susły. Zawsze możesz być pewna, że te małe stworzonka zachowają się tak, jak tego oczekujesz. Są przewidywalne.

Charlie nagle zrozumiała, dlaczego dla swojej matki była wiecznym źródłem rozczarowań. Nigdy przecież nie spełniała jej oczekiwań. Zabawne, jak wszystko zależy od punktu widzenia.

Powinna bardzo uważać, by nie popełnić tego samego błędu w stosunku do Robbiego. Nie wolno jej naginać go do swoich wyobrażeń. Chłopiec musi zawsze pozostać sobą. Co oczywiście nie oznacza, że pozwoli mu na zupełną swobodę, ale nie wolno jej złamać mu charakteru.

Po jedzeniu wszyscy jeszcze przez chwilę pozostali przy stole. Jednak Robbie i Charlie byli bardzo zmęczeni.



- Czas do łóżek - nakazała Goldie, energicznie wstając z krzesła. - Dobrze, że mam pokój gościnny.

Charlie i Denver ruszyli za nią, unikając wzajemnych spojrzeń.

- Wy dwoje możecie spać tutaj - zaczęła Goldie, pokazując wielkie małżeńskie łóże, wypełniające prawie cały pokój.

- Nie - powiedziała Charlie, gwałtownie się cofając i ukradkiem zerkając na Denvera.

- Co się stało? - zapytała Goldie. - Zobaczyłaś szczura w pościeli?

- Nie... - Charlie znów spojrzała na Denvera. - Posłuchaj, Goldie, my nie sypiamy ze sobą.

Goldie badawczo spojrzała na nich znad okularów.

- A ja myślałam, że jesteście małżeństwem.

- Nie - odpowiedziała szybko Charlie.

- Tak, ale... -jednocześnie zaczął mówić Denver.

Spojrzeni na siebie i oboje potrząsnęli głowami.

- Nie jesteśmy - przyznał Denver.

- Jesteśmy, ale... - Charlie wzięła głęboki oddech.

Zdumiona Goldie pokiwała głową i taktownie powstrzymała się od dalszych pytań.

- W porządku, rozumiem. Jesteście parą, ale nie jesteście małżeństwem. Albo jesteście małżeństwem, ale nie jesteście parą. To nic nadzwyczajnego. Na przykład w świecie su-słów...

- Więc gdzie będziemy spać? - szybko przerwał jej Denver, chcąc uniknąć następnego wykładu o życiu małych gryzoni.

- Już dobrze - ustąpiła Goldie. - To może Charlie i Robbie będą spali w tym łóżku, a ty, Denver, prześpisz się na kanapie? Czy tak będzie dobrze?

- Tak - odpowiedzieli równocześnie z widoczną ulgą. Cała trójka spała kamiennym snem. Rano obudziła ich dopiero krzątająca gospodyni. Wstawali powoli i leniwie. Goldie poczęstowała ich domowym chlebem i jajecznicą. Rozmowa przy stole toczyła się niemrawo. Gdy skończyli jeść, Charlie wreszcie zebrała się na odwagę i postanowiła wyjaśnić dręczącą ją zagadkę.

- Denver, jak długo tu zostaniesz?

- Chyba powinienem przez jeden dzień dać odpocząć mojej nodze - odpowiedział, unikając jej spojrzenia. - Wyruszę jutro rano.

Charlie utkwiała wzrok w talerzu, by nie dojrzał w jej oczach rozczarowania. Jeszcze jeden wspólny dzień, a później najpewniej już nigdy go nie zobaczy.

Nie potrafili wykorzystać umykających chwil. Zbliżająca się rozłąka wzbudziła w nich niepokój i zdenerwowanie. W miarę upływu dnia wynajdywali wciąż nowe powody do sprzeczek. Gdy Denver zrobił jej potworną awanturę, że przełożyła gdzieś jego mapę, Charlie nie wytrzymała.

- Muszę poprosić Goldie o butelkę whisky i upić cię. Spojrzał na nią zaskoczony i trochę zaniepokojony.

- Po co?

Z czułością patrzyła, jak nerwowo odrzuca z czoła opadającą grzywkę.

- Widziałam cię już pijanego - powiedziała łagodnie.

- Upijanie się to głupota.

- Wiem, ale jesteś wtedy dużo przyjaźniej nastawiony do świata.

Charlie spojrzała mu w oczy, lecz Denver odwrócił się i pomaszzerował do kuchni. Odczuła głęboki smutek. Zostało im tak niewiele czasu, czemu więc marnują go w tak bezsensowny sposób?

Goldie chyba zorientowała się w sytuacji, bo z miną spiskowca powiedziała:

- Zabieram Robbiego na łękę, by poznał moje susły.

Przyda mu się trochę ruchu.

- Pójdę z tobą - powiedział Denver, sięgając po marynar-kę. Jednak Goldie powstrzymała go uniesioną dłońią i groźnie powiedziała:

- Nie, ty z nami nie idziesz.

- Dlaczego? O co chodzi? - zapytał zdziwiony.

Goldie mrugnęła do niego.

- Nie jestem ślepa. Wyczuwam napięcie między wami.

Chyba musicie sobie coś wyjaśnić w cztery oczy.

- Wszystko sobie wyjaśniliśmy - zaprotestował Denver.

Goldie lekceważąco prychnęła.

- Już czas, byście zaczęli mówić tym samym językiem.

Wiem coś na ten temat. Wystarczająco długo śledziłam życie miłosne susłów, by nauczyć się odczytywać ukryte sygnały.

- Stojąc w drzwiach, spojrzała na nich groźnie. - Daję wam dwie godziny. Po powrocie nie chcę słyszeć żadnych awantur. Zrozumiano?

- Tak jest, kapitanie - odpowiedział Denver.

Drzwi zamknęły się, a oni patrzyli na siebie z wyczekiwa-niem. Charlie z niepokojem wsłuchiwała się w nierówny rytm swego serca.

- Przyjaciele czy wrogowie? - zapytała na wpół tylko żartobliwie.

- Najlepiej będzie, gdy przestaniemy sobie wchodzić w drogę - powiedział Denver lodowatym tonem. - Trzymajmy się od siebie z daleka. Jutro już mnie tu nie będzie.

- Mówisz poważnie? - zapytała zdumiona.

- Jak najbardziej. Chcę tylko spokojnie stąd wyjechać. Mam dosyć tego pasztetu.

O co mu chodzi? Charlie starała się wyczytać odpowiedź w jego oczach, lecz Denver odwrócił się do niej plecami.

- Posłuchaj, Charlie. Jestem naprawdę zmęczony. Chcę się trochę przespać. Czy mogę skorzystać z twojego łóżka? Niedługo zniknę z twojego życia i będziesz mogła robić, co ci się tylko żywnie spodoba.

- Może potrzebujesz towarzystwa? - podjęła ostatnią próbę.

- Charlie, nie! - powiedział zniecierpliwiony.

Zalała ją fala wściekłości, lecz starała się mówić spokojnie.

- O co ci chodzi, Denver? Stoję tu przed tobą, jesteśmy sami...

- Nie, wiem dobrze, czym to grozi.

- Co masz na myśli?

Wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że jeśli się prześpimy, przestanę wariować na twoim punkcie. Ale stało się wręcz przeciwnie.

Oczy Charlie płonęły. Miała tego serdecznie dosyć.

- Zachowujesz się tak, jakby chodziło tylko o zaspokojenie seksualnego popędu.

- Chciałbym, żeby tak właśnie było - powiedział Denver z rezygnacją w głosie.

- Boisz się spojrzeć prawdzie w oczy - powiedziała łagodnie.

Lecz sama nie wiedziała, co jest prawdą. Może rzeczywiście chodziło mu jedynie o fizyczne spełnienie?

A ona kochała naprawdę. Seks był dla niej tylko oznaką miłości, za jego pomocą wyrażała głębsze uczucia. Może mężczyźni przeżywają to inaczej?

- Mniejsza z tym - powiedziała szorstko, sięgając po ręcznik. - Zdrzemnij się, a ja pójdę wziąć prysznic.

Mogła albo pogrążyć się w rozpacz, albo zaatakować. Co okaże się skuteczniejsze?

Denver bezskutecznie próbował zasnąć. Wiedział, że Charlie stoi naga pod prysznicem, i ta myśl nie dawała mu spokoju. Szum wody rozognił jego wyobraźnię. Niemal zobaczył srebrzyste krople wody, opalizujące na skórze Charlie. Gdy na dodatek usłyszał jej beztroski śpiew, gwałtownie zakrył uszy rękoma.

Jednak nic z tego, Charlie była wszędzie. Przepędiała jego myśli, władała jego pragnieniami. Poczul się jak ktoś, kto został zaatakowany przez nieuleczalną chorobę, od której nie ma ucieczki.

Musi stąd natychmiast wyjechać. Jutro może być za późno. Wstał z łóżka i zaczął szykować się do drogi.

Wyjrzał przez okno. Charlie była przed domem, zajęta wplataniem polnych kwiatów w swe wilgotne włosy. Na domiar złego owinięta była tylko mikroskopijnym ręcznikiem. Wyglądała jak leśna nimfa, zajęta beztroską zabawą.

Nie powinna tak się pokazywać. Co ona sobie wyobraża? Otworzył drzwi i zawołał:

- Charlie, natychmiast wracaj do domu! Jesteś prawie naga! Co ty wyrabiasz?

Uniosła głowę i figlarnie pomachała do niego.

- Co w tym złego? Jesteśmy tu sami. - Roześmiała się, rozłożyła ręce i zakreśliła się na palcach. - Gdybym chciała chodzić całkiem nago... - zawiesiła głos i położyła dłonie na piersiach, by rozwiązać ręcznik.

- Nie! - ryknął Denver i popędził ku niej.

Jeśli ona szykuje taki numer, to on musi nad tym zapanować.

- O co chodzi, Denver! Nie widziałeś nigdy rozebranej kobiety?

Denver chwycił ją o za ramiona.

- Och! - krzyknęła.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ostatecznej determinacji. Odwrócił się do niej tyłem.

- Spójrz, co zrobiłeś - szepnęła, gdy ręcznik łagodnie opadł na ziemię.

Denver nie chciał na nią patrzeć, lecz nie potrafił się powstrzymać. Słyszał jej śmiech, widział jej olśniewające piersi i piękne, szczupłe ciało, wprost stworzone do miłości. Wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Nogą zatrzasnął drzwi. Drżeli z niecierpliwości, gdy opadali na łóżko. Łaknęli siebie jak powietrza. Charlie była dla niego wszystkim. Denver czuł się jak zdobywca, choć wiedział, że to on był zdobywcą.

Zachłannie domagała się, by przepelnił ją całą, a jej krzyk wyrażał najdzikszą, najbardziej szaloną prawdę o miłości. Długimi nogami oplótła biodra Denvera, pragnąc, by nigdy nie odchodził i został z nią tak na zawsze. Potem długo leżeli, szczęśliwi i wyczerpani, próbując odzyskać oddech.

- A teraz spójrz mi w oczy i powiedz, że chodzi ci tylko o seks - zażądała niskim, ochryplym głosem. - Spróbuj udowodnić, że nic do mnie nie czujesz. Że...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie chciał o tym rozmawiać, choć była jedyną kobietą, na której mu naprawdę zależało. Wiedział jednak, że nie mają przed sobą żadnej przyszłości, i nie mógł udawać, że jest inaczej.

- Nadal masz zamiar jutro wyjechać? - zapytała cicho, wtulona w jego ramiona.

- Tak - odpowiedział, wzmacniając uścisk. - A jakie ty masz plany?

Zabawne, ale do tej pory Charlie nie zastanawiała się nad tym, ponieważ wszystkie jej myśli krążyły wokół Denvera.

- Chyba zostanę tu, dopóki...
- Dopóki?

Potrząsnęła ramionami.

- Sama nie wiem, chyba poczekam tu, dopóki Ernie nie powie mi, że mogę wracać do domu.

- Nigdy nie będziesz bezpieczna, przecież dobrze o tym wiesz.

Wiedziała. Nadejdzie wreszcie taka chwila, gdy będzie musiała zmierzyć się z rzeczywistością.

Ubrali się i poszli do kuchni. Charlie nastawiła wodę na herbatę. Skrzyżowała na piersiach ramiona, jakby nagle poczuła chłód.

- Jak sądzisz, co powinnam zrobić? - zapytała w nadziei, że Denver podsunie jej jakiś wspólny pomysł.

Długo na nią patrzył bez słowa, aż wreszcie powoli powiedział:

- Sądzę, że powinnaś pojechać do San Francisco i porozmawiać z matką.

- Co takiego? - krzyknęła zdumiona.

Była pewna, że Denver zupełnie jej nie rozumie. Przecież rozmowa z matką niczego nie rozwiąże.

Wstał i podszedł do niej. Ujął za ramiona, by skłonić ją do uważnego słuchania.

- Charlie, poradzisz sobie z matką. Nie jesteś już zahukaną dziewczyną, która sześć lat temu uciekła z domu. Urodziłaś syna. Umiałaś zdobyć pracę, zapewniasz Robbiemu wszystko, czego on potrzebuje. Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Dasz sobie radę.

Charlie odwróciła głowę. Nie to chciała usłyszeć.

Denver sięgnął po stojącą na kredensie puszkę z wołowiną.

- Spójrz na to. Jeśli umiałaś poskromić dzikiego niedźwiedzia, to tym bardziej poradzisz sobie z własną matką. Na litość boską, uwierz w siebie!

Charlie spojrzała na puszkę i wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Szczerze mówiąc, ta wściekła bestia bardzo przypominała moją matkę.

- Po takim wyczynie chyba już się niczego nie boisz.

- Sama nie wiem - powiedziała z powątpiewaniem.

- A może oboje z Robbiem wyjedziecie ze mną jutro?

Mogłabyś odwiedzić matkę i przekonać się, jak wygląda sytuacja.

Charlie tylko westchnęła. Rozumiejąc jej rozterkę, Denver czule ją pocałował.

- Charlie, nie jesteś przecież sama.

Z wrażenia zamrużyła oczami. Czyżby on...? Ale natychmiast wyprowadził ją z błędu.

- Musisz myśleć o Robbiem - powiedział. - Ten chłopak zasługuje na dzielną matkę.

Nie odpowiedziała. Długo zastanawiała się nad tymi słowami i w końcu przyznała Denverowi rację. Swoją drogą, ten facet umie świetnie rozwiązywać cudze problemy. Lecz historia z Gail dowodzi, że o wiele łatwiej jest pouczać innych, niż samemu kierować się dobrymi radami.

Wreszcie Charlie podjęła decyzję. Nie przyszło jej to łatwo, musiała jednak zgodzić się z argumentami Denvera.

Pora opuścić kryjówkę i spotkać się z matką.

Objęła go ramionami, cmoknęła czule w policzek i zwieryła się ze swoich planów.

- Wspaniale - powiedział, a gdy Charlie wyszła z kuch-



ni, by przywitać się z Robbiem i Goldie, długo patrzył w ślad za nią.

Pragnął tej kobiety. Gdyby została w dolinie, mieliby szansę na wspólne życie. Ale właśnie przekonał ją, by wróciła do San Francisco, do świata, w którym on zawsze czuł się jak intruz. Czyżby oszalał? Może i nie był wariatem, ale masochistą na pewno.

Denver leżał w szpitalu i czuł się podle. Minęły już dwa tygodnie, od kiedy Charlie i Robbie wyjechali do San Francisco. Zabawne, że opuściła dolinę, a on nadal tu tkwił.

Kolano nie wytrzymało trudów górskiej eskapady i ostatecznie odmówiło posłuszeństwa. Lekarze z miejscowego szpitala zapewnili go jednak, że po serii zabiegów będzie jak nowe.

- Dam ci papierkową robotę. Przez pół roku posiedzisz sobie przy biurku - oznajmił mu jego szef, gdy Denver telefonicznie poinformował go o swoim stanie.

Perspektywa zostania gryziopiórkem zirytowała Denvera.

- Chyba złożę wypowiedzenie. Jest wiele miejsc na świecie, gdzie mnie zatrudnią. Najemnicy są w cenie - odpowiedział ze złością Joshowi.

- Najpierw zrób porządek z kolanem, a później się zobaczy - uspokajał go przełożony.

Wierząc się na szpitalnym łóżku, Denver skazany był na samotne rozmyślenia. Przecież, przyjeżdżając do doliny, zastanawiał się nad tym, czy nie pora radykalnie zmienić styl życia. Nie był już młodzikiem i powinien znaleźć sobie spokojniejsze zajęcie. Jednak te rozsądne argumenty wcale nie poprawiały mu nastroju.

Do pokoju weszła jakaś kobieta, lecz celowo nie zwrócił na nią uwagi. Wokół niego wciąż krążyły tłumy pielęgniarek, a każda z nich chciała mu zrobić jakąś krzywdę.

- Denver - cicho powiedziała kobieta.

Spojrzał w górę i zamarł. Zobaczył szare oczy Gail. Zdu-  
miony, zamrugał powiekami, myśląc, że ma halucynacje.

- Gail, to naprawdę ty?

Skinęła głową i ujęła jego dłoń. Ujrzał lzy wolno spływają-  
ce po jej policzku.

Często wyobrażał sobie spotkanie z siostrą. Obmyślał su-  
rowe zdania, jakimi ją przywita. Lecz Gail przyjechała tu  
z miłością w sercu i tylko to się liczyło. Padli sobie w ramio-  
na.

- Mój Boże, to naprawdę ty - wyszeptał jej do ucha.

Po raz pierwszy nie wstydził się lez. Patrzył na siostrę i był  
szczęśliwy.

- Ricky i ja wzięliśmy ślub - powiedziała, gdy uspokoili  
się na tyle, że mogli normalnie rozmawiać. - Wiem, nigdy  
go nie lubiłeś i nie szanowałeś, ale on się bardzo zmienił.  
Zresztą sam zobaczysz. Obciął włosy i pracuje na giełdzie.

- Skąd wiedziałas, że tu jestem?

Uśmiechnęła się do niego.

- Charlyne. Odnalazła mnie i...

Nie słuchał dalej. Charlie, oczywiście! Któż by inny?

- Powiedziała, że ma wobec ciebie dług wdzięczności

- dotarły do niego ostatnie słowa Gail.

No tak, wszystko jasne.

Długo i serdecznie rozmawiali. Znowu było tak jak przed  
laty. Niestety, Gail musiała tego samego dnia wracać.

- Do pracy? - zapytał Denver, gdy zbierała się do wy-  
jścia.

- Nie, do szkoły - rozpromieniła się. - Studiuje medycynę.

- Nachyliła się, by pocałować brata na pożegnanie. - Widzisz?

- szepnęła mu do ucha. - Zawsze ufaj tym, których kochasz.

Gail wyszła, ale długo jeszcze pokój emanował jej dobrą energią. Denver podziękował Bogu za Charlie. Wprawdzie złamała mu serce, ale dzięki niej odzyskał siostrę.

Po dolinie krążyły plotki, że Charlie już nigdy nie wróci. Jedni mówili, że jej dom został wynajęty starszemu małżeństwu z San Diego, inni zaś opowiadali, że właściciel zamierza zburzyć chatę i na jej miejscu postawić pensjonat. Lecz pewne było tylko to, że rzeczy Charlie zostały spakowane i wysłane do San Francisco.

Stało się więc to, co musiało się stać, pomyślał Denver. Wróciła do swojego świata i już tam pozostanie.

Przez jakiś czas przyzwyczajał się do myśli, że być może stracił Charlie na zawsze. Minęły już dwa miesiące od ich pożegnania. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Góry i doliny skrzyły się śnieżną bielą. To dobrze, niedługo będzie można uruchomić wyciąg.

I właśnie to miał zamiar uczynić. Przez lata zaoszczędził sporo pieniędzy i przyszedł czas, by je sensownie zainwestować. Z coraz większą niechęcią myślał o powrocie do firmy. Potrzebował radykalnej zmiany. Gdy kiedyś szedł do sklepu, zatrzymał się przy nieczynnym wyciągu. I już wkrótce został jego właścicielem. Postanowił bowiem osiedlić się w dolinie, a ta inwestycja zapewni mu utrzymanie i da zajęcie. Hal Waters, poprzedni właściciel, nauczył go wszystkiego. To dopiero życie! Tego mu potrzeba, by zapomnieć o... różnych rzeczach.

W nowej pracy radził sobie świetnie. Nigdy dotąd nie potrzebował kobiety i niech tak pozostanie. Tylko czasami, późną nocą, lub gdy zapatrzył się w góry, myślał o Charlie. Ta niemęska słabość doprowadzała go do takiej furii, że gotów był walczyć z całym światem.

Wyciąg cieszył się coraz większym powodzeniem. Ktoregoś rana, gdy Denver przyszedł do pracy, zobaczył tłum narciarzy. Bezwiednie przyjrzał się twarzom turystów. I nagle - zobaczył ją.

Zdumiony zatrzymał się i utkwiał wzrok w Charlie. Stała w otoczeniu przyjaciół ubranych w drogie narciarskie kombinezony i dumnie prezentujących najnowsze modele europejskich nart. Nagle dostrzegła go. Elektryzująca siła wzajemnych spojrzeń przykuła ich do siebie.

- Denver? - krzyknęła.

- Co? - zawołał, przepychając się w jej kierunku. Musiał natychmiast znaleźć się obok niej, tak jakby od tego zależało jego życie.

Jasne włosy kaskadą otaczały jej ramiona, płatki śniegu opadały na długie rzęsy. Uśmiechała się do niego, a jej oczy lśniły jak rozgwieżdżone niebo. Denver nie zauważyłby nawet trzęsienia ziemi, bo widział tylko ją.

- Chodź ze mną - powiedział, podając jej rękę.

Ujęła jego dłoń i jak zahipnotyzowana poszła za nim. Przyjaciele wołali coś do niej, ale Charlie nawet się nie odwróciła. Weszli do schroniska, w którym mieściło się biuro Denvera.

Zamknął drzwi i odwrócił się do niej. Śmiejąc się i płacząc, padli sobie w ramiona. Obsypywali się gorącymi pocałunkami i tulili do siebie. Stracili kontrolę i zaczęli zdzierać z siebie ubrania.

Charlie była taka piękna, taka smukła i krucha. Starał się być czuły i delikatny, lecz Charlie nie pozwoliła na to. Gdy znalazł się w niej, głośno krzyknęła i gwałtownie uniosła biodra. Świat przestał istnieć, byli tylko oni, złączeni na zawsze, tak jakby ich ciała i dusze stopiły się w jedno.

- Boże, jak ja tęskniłam za tobą, Denver - powiedziała,

z trudem łapiąc oddech, gdy wreszcie się rozłączyli. - Już nigdy nie pozwolę ci odejść.

- To nie ja odszedłem - przypomniał, pieścąc jej szyję i przyciągając do siebie.

- Ale to ty namówiłeś mnie do wyjazdu - odpowiedziała, uśmiechem kwitując jego zakłopotanie. - Modliłam się całą drogę, by cię tu spotkać.

Denver już wiedział na pewno, że ją kocha. Bez Charlie był niczym. Płonął z miłości. Ale nie był pewien jej uczuć.

- Co słysząc w wielkim świecie? - zapytał z udawaną swobodą.

Odpowiedziała mu po chwili namysłu:

- Nieźle. Miałaś rację. Wszystko się zmieniło. Wprawdzie gdy matka podnosi głos, jeszcze podskakuję na krzesle, ale już z niego nie spadam. Poważnie mówiąc, nie pozwalam sobą dyrygować... na ogół.

- Świetnie - powiedział ani trochę nie zaskoczony. - Cieszę się, że poradziłaś sobie z matką. Ale jeszcze jest jedna rzecz, którą musisz zrobić.

Co takiego?

Denver wziął głęboki oddech. To nie będzie łatwe. Ukrył twarz w jej złocistych włosach i szepnął:

- Wyjdź za mnie.

- Wyjść za ciebie? - Odchyliła głowę i ze zdumieniem spojrzała na niego. - Przecież ty zupełnie nie nadajesz się na męża.

- Zostań moją żoną. Zmienię się.

- Ale... - Głośno przełknęła ślinę, a on już wiedział, że mu odmówi. - Denver, nie mogę cię poślubić. Powiedziałam ci już kiedyś, że najważniejszy jest dla mnie Robbie, a ja mu obiecałam, że wrócimy tutaj. Chcę go wychowywać

w tych górach. On nie polubił miasta. Twoja praca wymaga od ciebie ciągłych wyjazdów, a ja nie mogę pozwolić, by mój syn...

- Gdzie on jest?

- Przyjechał ze mną. Zatrzymaliśmy się w schronisku, dopóki nie doprowadzimy do porządku naszej chaty.

Denver wypuścił ją z objęć i sięgnął po ubrania.

- Chodźmy po niego.

Charlie uśmiechnęła się.

- Ucieszy się na twój widok.

- Stęskniłem się za nim - powiedział Denver, wkładając koszulę i zerkając na zegarek. - Mam mało czasu, bo przed południem muszę uruchomić wyciąg.

Zamarła, zaskoczona, a później rozejrzała się po biurze.

Wreszcie dotarło do niej, gdzie się znajdują.

- Co ty tu właściwie robisz? Pracujesz?

Pocałował ją w usta i tajemniczo się uśmiechnął.

- Charlie, ja nie tylko tu pracuję. To wszystko jest moje.

Postanowiłem osiąść tu na stałe. Skoro nie chcesz zostać moją żoną, będziemy się umawiać na randki.

Z piskiem rzuciła się na niego, a on krztusił się ze śmiechu, gdy uwieszona na jego szyi, bezskutecznie usiłowała wyrazić swą radość w sensownych słowach.

- Dobrze, dobrze, jeszcze raz ci się oświadczę - powiedział, wciąż zaskoczony, że miłość może być tak radosna i wspaniała. - Ale teraz zrobię to w obecności Robbiego.

Gdy pomagał się jej ubierać, zobaczył na jej policzku łzy.

- Kochasz mnie? - zapytała po prostu.

Denver próbował odpowiedzieć, lecz wzruszenie ścisnęło mu gardło. Skinął więc tylko głową.

- To wspaniale - odparła - bo ja cię bardzo kocham.

Szybko podeszła do drzwi.

- Chodźmy już. Musimy jeszcze wstąpić do sklepu. - Posłała mu figlarny uśmiech. - Zamierzam kupić długą wstążkę i zawiązać ci na głowie wielką kokardę. Robbie prosił Mikołaja tylko o jeden prezent. Chciał dostać tatę. O rany, teraz już na pewno uwierzy w istnienie Świętego Mikołaja!

RS